

A. L.

Dingaan.

Powieść osnuta na tle historyi Zulusów.

Wrocław.

Nakładem Wł. Trapistów w Marienhill.

Dingaan.



Powieść

osnuta na tle historyi Zulusów.

Przez A. L.

„. . . Ἄλλ' ὁ μὲν Αἰθίοπας μετακίαθε
τηλόθ' εἶοντας . . .“

(Odyss. I, 22.)



(Odbitka z „Niezapominajek.“)



Przedruk wzbroniony.



Wrocław.

 Nakładem OO. Trapistów w Mariannhill. 

Czcionkami drukarni „Gazety Śląskiej Ludowej.“

1899.



91375

884-3

„Zbiory Śląskie”

Akc K Nr 344 | 75 | 51

Wstęp.

Jak ów Sfinks zagadkowy starożytnych wieków, leży na południu olbrzym — Afryka. Wybrzeże Nilu jest wprawdzie kolebką wiedzy ludzkiej, ale wnętrze kraju niezbadane jest dotąd i ciemne. . .

Przyroda cała i człowiek sam bronią wstępu do zagadkowej tej krainy.

Wybrzeże jeży się prawie zewsząd stromemi skałami, lub zasiane jest niedostępną puszczą. Niebezpieczne w niektórych miejscach panują febry. Ujścia rzek, jedyne naturalne, niezaparte bramy do wnętrza kraju, pełne są ławic piaskowych, dalej zaś w głębi ryczą bezdenne kataraktami, szumią na dalekie mile groźnymi wodospadami. Słońce zwrotnikowe zdaje się skórę na człowieku przepalać, krew mu z żył ssąć, niepodobno wytrzymać upałów niesłychanych. Górą ciągnie się straszliwe morze piasku Sahara z swojemi zawiejami, swojem szalonem „samum“, stokroć straszniejszym od naszych zamieci śnieżnych. Ciągnie się ona przez całą prawie szerokość Afryki i niemożliwą do przebycia stawia zaporę.

Fanatyczna, chrystyanizmowi nieprzyjazna ludność, oddana bałwochwalstwu i obrzydliwemu ludożerstwu, najtrudniejszą jest może do zwalczenia przeszkodą.

Afryki wnętrze to tak jak owo. jądro puszczy litewskiej, o którym mówi wieszcz nasz:

„ . . człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,

Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.“

W starożytności część tę ziemi znano pod nazwiskiem: Libia lub Etiopia. Li tylko okolice Kartaginy nazwano: Africa. Później dopiero, za czasów imperium rzymskiego przeniesiono nazwę tę ostatnią na cały kontyent.

W zamierzchłych już wiekach Homera wiedzieli Grecy o urodzajnym kraju nad Nilem. Roku 850 przed Chrystusem założyli kolonię swoją Kartaginę i zawiązali stosunki kupieckie z Egiptem. Trzy wieki później podjął Hanno, Kartagińczyk, podróż naukową i dotarł aż do wybrzeża Sierra Leone. Wcześniej jeszcze, bo w roku 600, opłynęli żeglarze fenicyjscy na rozkaz faraona Neho cały kontynent afrykański. Mnóstwo nam zostawili baśni o kraju tym tajemniczym. Niektóre z nich okazały się później po dokonanych odkryciach prawdziwemi.

Eratostenes opisuje nam najdokładniej bieg Nilu i skrety jego przy Meroe. Wiedzano także, że źródła rzeki tej w jeziorze jakimś, w górach płyną. Ekspedycya naukowa, wyprawiona przez Nerona, doszła do Białego Nilu, a Ptolomeusz opisuje nam, gdzie się znajdują źródła jego.

Później wdarli Rzymianie w głąb Sahary. Oudney i Barth odkryli przy granicy północnej Fesanu runowisko starego grobowca, monument potęgi rzymskiej na krańcach południowych.

W wiekach średnich rozszerzyli Arabi widnokrąg geograficzny. Na swoich wielbłądach przebyli Saharę i drogę pokazali do krajów murzyńskich nad Nigrem. W ich ślady podążyli apostołowie islamu i karawany kupieckie.

Wydoskonalenie żeglugi przy końcu wieków średnich umożliwiło nowe odkrycia w Afryce. Portugalczycy mianowicie zwiedzali zachodnie wybrzeże. W roku 1442 ujrzała stolica Portugalii pierwszych murzynów z Gwinei. 1484 roku dotarli do Kongo, a dwa lata później odkrył Bartolomeo Dias przylądek Dobrej Nadziei. Vasco de Gama opłynął cały kontynent i dzięki pomyślnym prądom wiatrów dojechał do Indyi.

W ślady Portugalczyków poszły i inne narody. Roku 1600 zajęli Holendrzy pod przewodnictwem kapitana Van Kisboek południowy kraniec Afryki, tak zwany Kapland. Osadnicy nowi nazwani Boerzy, gbury, wyparli Hotentotów i wypowiedzieli wojnę Kafrom. Jeden szmat ziemi po drugim im zabierali.

Kolonia holandska rosła. Anglia, jak zawsze zazdrosna, starała się odebrać Holendrom tę osadę. Pracowała, starała się wszelkimi sposobami o zdobycie kraju i nie spoczęła, dopóki nie otrzymała tego, czego pragnęła. W r. 1714 przyznał kongres paryski Anglii zwierzchnią władzę nad Kaplandem. Anglicy wysłali swoich osadników, którzy naturalnie krzywdzili Boerów, tak, że zacięta walka zawrzała między dwoma narodowościami.

Czarni, których dotychczas uważano za lud niedołęży, niezdolny do obrony, stali się niebezpiecznymi wrogami. Chociaż należy przypuszczać, że z czasem zupełnej ulegną zagładzie tak samo jak Indianie Ameryki, nie trzeba myśleć, że dobiowolnie nagną pod okrutne jarzmo karki swoje. Będą się bronili do ostatniej kropli krwi. Upadek narodu nigdy nie jest nagłym. Szamocze się długo i drga konwulsyjnie jak olbrzym jaki, który czuje ostrze żelaza w piersi. Często ostatnim wysiłkiem złamie moc wroga i z sobą razem pociągnie go do grobu. . .

Sławny naczelnik Zulusów Tszaka (1820), słusznie Atylą Afryki południowej nazwany, władzę miał nad wielu szczepami kaferskimi. Zorganizował ich w siłę potężną i uczynił groźnymi dla Europejczyków. Armia jego liczyła 100 000 wojowników. Dingaan, brat potężnego króla, zamordował go i przywłaszczył sobie panowanie nad Kafram. Okrutny to był i krwi cheiwynaczelnik, tak że lud własny znienawidził go sobie. Grozą tylko i postrachem dzierżył najwyższą władzę. Zacięta walka powstała między nim a Boerami, w której ci ostatni cudów waleczności dokazywali. Z dwoma nieprzyjaciółmi mieli do walczenia, bo Anglia chcąc zgnieść Holendrów potajemnie sprzyjała Kafrom.

Powieść nasza rozpoczyna się właśnie w czasie tych bojów krwawych. Oparta jest na historycznych faktach.

I.

Po długiej kilkomiesięcznej suszy ziemia odetchnęła. Słońce, które wszystko co żyło na niej, wypaliło, które ognistym promieniami swoimi wszystkie ożywcze soki z niej wyssało, skryło się za chmury.

Szaro było na ziemi i szarą się niebo oblokło oponą. Deszcz zrosił spragnioną ziemię. W korytach rzek i wyschłych źródełkach nowa zaszemrała woda. Na pustych dotąd obszarach świeża majaczyła zieloność. U strumieni stojące krzewy już się okrywały puchem, pączki się otwierały i ciekawe z nich wyglądały listki. Właśnie przybyłe żorawie włóczyły się po dolinach, stały u źródeł strzepując skrzydła zmęczone długą podróżą.

Wysoko wzlatywał śliczny ptak rajski, patrzył w niebo, jakby tęsknił za słońkiem, piosnkę mu chłód w dzióbku tłumił, a oczy próżno niebios lazurowych w górze szukały.

Słońce wyrzało z za obłoków, łagodne, nie tak palące jak dawniej. Złote jego promienie oblały całą naturę i nowym życiem zadrzała ziemia. Tysiącem chrząszczyków i skoczków swawolnych zaroily się świeże łąki. Tysiące ptaków śpiewaków powitało wesołą piosnką nowe życie.

Szare obłoki gdzieś się rozsuały i nikły jeden po drugim. Błękit blady, jak baldachim spłowiąły nad ziemią królową się rozpostarł. Wietrzyk miłutki powiał od wschodu i życiem tchnął w martwe dotąd obszary.

Na polach jak zawsze, tyle wdzięku nie rozeszło się co po lasach. W nich śmiało się wszystko łagodnym uśmiechem. Gałęzie świeżym liściem pokryte, poruszone miłym wiatru tchnieniem, drżały radością po-

wracającego życia. Na każdej trawce, na każdym listeczku błyszczały tysiące kropel ożywczej rosy. Szczodłą dłonią sypała matka natura swe dary.

Mchy pyszniły się jak aksamity, zielono, majowo, oliwkowo, szkarłatem i pomarańczą. Nie było tu już śladu dawnego odrętwienia, dawnej martwoty. W nową, wesołą barwę wszystko się oblokło.

Na szacie tej świeżej, jak na niezbrukanej karcie widać było popisane hieroglify i dzieje stworzeń, które ją dotknęły stopami. Pismo to było czytelne, wyraziste, jasne. Mówiło kto je namalował, z kąd szedł, kto był i dokąd, a nawet po co się udał.

Cały świat tych istot, których łowcy szukają tak chciwie, ślady tu po sobie zostawił. Lekkie dotknięcie pierzchliwego zwierzęcia, ciężkie stopy dzikich, olbrzymich mieszkańców lasu, przeskoki chyżych stworzeń, zdradliwe płataniny chytrych i podstępnych złodziei — wszystko to na miękkiej zieleni wyraźnie się rysowało — niby historia dnia wczorajszego, dzieje odrodzonego lasu.

Był ranek jakich mało, przecudny, cichy, spokojny, do marzenia jakby stworzony.

Co żyło pąctwa w lesie ruszało się, zwiedzione pogodą i słońcem i powietrzem łagodnem.

Leopard na rozsochatem drzewie kociemi rozglądał się oczyma, pod siebie i do koła. Ranek był tak piękny, iż mógł mu pastwę wyprowadzić na przechadzkę.

Zbudzony zabłąkanym słońca promieniem ocierał się bawół o drzewa, tak, że aż się chwiały pod olbrzymim tym naciskiem. Pierzchliwe kozy wychodziły na przechadzkę stadami, w pewnym porządku i szyku, nie bez przedniej straży. Kozły wietrzyły czy się godziło wyruszyć z gęstwiny, czy mogą się wyskakać swobodnie.

Hyeny i szakale i psy dzikie wychodziły śmielsze na polowanie i na miłosne, mięsopustne schadzki, zuchwałe jak nigdy, bo dla nich był to czas łowów, a zwłaszcza biesiad krwawych. Wychudzone, zmęczone, najeżonem futrem okryte zbóje leśne, mniej teraz

dbające o bezpieczeństwo, zuchwalsze, rozstawiły głodne paszczęki, oczy buro-żółte wysyłając na zwiady. Czasami górą przeciągnął ptak szerokoskrzydły, król w obłokach, patrząc od niechcienia na ziemię, czy na niej co nie czernieje, nie rusza się.

O kłodę drzewa owinięty czychał na zdobycz wąż okularnik (naja tripudians). Płaski łeb swój wyciągnął naprzód, chytre ślepie błyszczały mu jak dwa węgle rozżarzone, długim językiem poruszał chciwie. Biada temu stworzeniu, które wpadnie w tę paszczę jadowitą.

Nagle las cały zadrżał rykiem długim, przeciągłym, raz, drugi i trzeci. Wszystko umilkło. Echo tylko powtarzało coraz ciszej i ciszej głos ów przeraźliwy. Cisza zaległa, bo wszystko poczuło, że to pan i król lasów legowisko swe opuszcza. . . . Niezadługo też słyhać było chrzęst łamanych gałęzi i z ostępu wyszedł majestatycznym krokiem lew, król zwierząt. Rozejrzał się poważnie do koła, zmarszczył czoło i wstrząsnął wspaniałą grzywą. Paszczę rozwarł szeroko, ukazując białe, potężne kły swoje i zwolna się przeciągał. Widać było siłę jego, bo pazury zaryły się głęboko w ziemię, wyrrywając korzenie, łamiąc gałęzie. Raz jeszcze zatoczył skrzącemi ślepiami w około i pobiegł poszukać sobie czego na śniadanie.

Wkrótce wszystko ucichło i zwykłym las drgnął życiem. . .

Z dala dolatywał tentent kopyt końskich. . . Niezadługo ukazali się dwaj jeźdźcy. Jeden z nich na pięknym angielskim koniku wspanialej był postawy. Maż widać w sile wieku, wysoki był i barczysty, dosyć jeszcze pięknej twarzy. Ubranie miał na sobie myśliwskie, długie, za kolana sięgające buty skórzane, para rewolwerów i długi nóż tkwiały za pasem, dwie strzelby wisiały na ramieniu.

Inaczej wyglądał towarzysz jego. Kafer to był należący widać do szczepu Zulusów. Oprócz lichej jakiejś przepaski człowiek ten żadnego innego nie miał ubioru. Całe ciało jego świeciło się, wysmarowane według obyczaju krajowego, tłuszczem. Chroniło go to wprawdzie od ukąszeń much i komarów, ale za to taką nie-

przyjemną woń roztaczało, że biedny Europejczyk w pewnem się musiał trzymać oddaleniu. Osobliwie wyglądała czupryna tego człowieka. Przez codzienne używanie gumny akacyi i długoletnią staranną pieczę zlepiły się włosy w twardą całość. Fryzura nabrała kształtu dwóch do siebie zwróconych pantofli. Wyżłobione otwory w górę zwrócone były. W nich to przechowywał różne bezwartościowe przedmioty, do których on jednakże wielką przywiązywał wagę.

Uszy jego wskutek rozciągania takich nabrały kształtów, że mało co były mniejsze od uszu nowofundlandzkiego brytana. Praktyczny śnać to był człowiek, bo właśnie parę owych uszu użył do przechowania najpotrzebniejszego sprzętu. Otóż w każdym z nich nosił jedną z swoich tabakierek. Nozdrza ozdobił parą mosiężnych pierścieni, a na szyi, na skórzanem rzemieniu, wisiały dwa niemałe dzwonki, takie, jakie u nas krowom zawieszają, aby nie zginęły.

Osobliwą przybrał Kafer postawę na koniu. Siedział na nim tak, jak małpa na wielbłądzie, to jest nóg nie miał spuszczonej ku ziemi, ale zwinięte w kuczki, na grzbiecie bieguna spoczywały. Szczęściem koń jego był jak stworzony do noszenia tego dziwoląga. Brabanckiej rasy było bydle, ogromnych rozmiarów, podobne do tych, co armaty Napoleona po Egipcie wlokły.

Koń w rzeczy samej rozmiarów był kolosalnych. Kafer siedzący na jego grzbiecie trzymał się oburącz grzywy.

Dwaj jeźdźcy rozmawiali z sobą. Murzyn, chcąc śnać uważny ułożyć wyraz twarzy, wykrzywił ją w najdziwaczniejsze kształty, mlaskał językiem, zgrzytał zębami, co tak pociesźnie wyglądało, że drugi podróżny od czasu do czasu uśmiechać się musiał.

„Czy pan już widział Dingaan, wielkiego króla Kafrów?“ zapytał murzyn.

„Nie jeszcze, mój kochany Cymbo. A tyś go widział.“

„O nie Cymbo też go nie widział, bo Cymbo go nie lubi, ale za to wiele o nim słyszał. Cymbo nie chce go widzieć!“

„A więc boisz się go?“

Pocziwy Kafer otworzył jak wrota szeroko usta swoje, że bez mała do żołądka zajrzeć mu było można. Zwrócił potem oczy swoje na mówiącego tak, jakby go wzrokiem tym jak dynamitem w powietrze chciał wysadzić.

„Co to też pan powiedział? Cymbo miałby się bać Dingaana? Pan mnie nie zna. Cymbo jest mocny, jest odważny, niczego się nie lęka. Ale Dingaana wiele ma Zulusów, a Zulusi mają wiele, bardzo wiele „isikemba“ (broni) mają też wiele „isibambu“ (strzelb). Anglia tyle flint dała Zulusom, by zabijali Holendrów. Biedny Cymbo nie ma ani kul, ani prochu, ani flinty. Niechcę więc widzieć Dingaana.“

„Mój kochany, zbliżamy się teraz do gór Kwatlamba, nieza długo będziemy na ziemi Zulusów! Jak cię tam zastrzela? . . .“

„Pan przecie ma aż dwie „isibambu“ i kule i proch. Pan wystrzela wszystkich Zulusów i samego Dingaana. Cymbo bardzo kocha pana. Pan da mu tabaki, a on za to będzie panu wiernie służył!“

Oświadczeniu temu miłośnemu towarzyszyła taka żywa gestykulacya, że tkliwy ów Kafer równowagę stracił. Szczęściem chwycił się grzywy konia i wdrapał się z powrotem na grzbiet jego.

„Czy Dingaana rzeczywiście taki zły jest?“

„O, panie, Dingaana zabił wiele białych wojowników, białych kobiet i dzieci. Zabił wiele Basutów. Dingaana pije krew i tańczy gdy wymorduje wiele ludzi!“

Kafer prawdę mówił. Trudno znaleźć było człowieka tak okrutnego, tak krwi chciwego jak naczelnik Kafrów. Bezlitośnie kazał mordować niewolników. Bez żadnego powodu zabijał swoich własnych poddanych. Brat jego rodzony, Panda, człowiek wręcz przeciwnego usposobienia, spokojny i białym sprzyjający, byłby padł ofiarą okrutnego naczelnika. Ucieczką szybką zdołał się ocalić. Nieszczęśliwy Panda dowiedział się później że żona jego z jednym dzieckiem zginęła na pustyni Kalahari . . .

Rozkazy Dingaana siały trwogę, ślady stóp jego krwią płynęły, nie też dziwnego, że wielu miał nieprzyjaciół,

którzy zemsty krwawej pragnęli. Chcieliby oni chętnie mieć brata jego Pandę za wodza, byliby wygnali okrutnika, ale nie czynić nie śmieli, bo Dingaan grozą ich trzymał przy sobie, a potem nie wiedzieli, gdzie Panda przebywał.

„Uspokój się, mój kochany Cymbo. Dingaan ulegnie zasłużonej karze. Długo on już nie będzie naczelnikiem Zulusów.“

Dwaj podróżni wyjeżdżali właśnie z lasu. Rozległa dolina rozciągała się przed nimi. W oddali widniał ciemny pas gór Kwatlamba.

Jakiś jeździec ukazał się o kilkaset kroków przed nimi, w tę samą jadący stronę, co nasi podróżni.

„Będzie to Boer lub Anglik?“ mruknął do siebie myśliwy. „W każdym razie muszę go dopędzić! Cymbo, patrz tam jedzie jakiś człowiek. Dalej na-przód!“

Ostrogami spał konia i puścił się szybkim kłusem. Brabancki koń murzyna podążył w jego ślady. Tłusty grzbiet bydlęcia rzucał się to w prawo, to w lewo, tak że biedny Kafer chwiał się na wszystkie strony. Ręce swe wpił w grzywę konia, chciał go zatrzymać, ale biegun nie słuchał, pędził dalej.

„O—o, o—o—o, pani—e—e“, ryczał coraz rozpaczliwiej. „Koń mój ucieka. Cymbo zgubi konia, Cymbo połamie ręce i nogi. Panie, Cymbo zgubi konia.“

Myśliwy tymczasem nie słuchał, tylko pędził dalej. Nieszczęśliwy Cymbo ryczał i wył jak szalony, targał konia nielitościwie, co naturalnie tylko bieg jego przyspieszyć mogło. Nieznajomy jeździec obejrzał się, snać niezwykłym hałasem przestraszony i zaciekawiony. Staął natychmiast i oczekiwał.

Był to mąż nie stary jeszcze, ale kolosalnej budowy ciała, ruchów elastycznych, które o jego sile i zręczności świadczyły. Grube, ale szlachetne rysy twarzy jego wyraz miały łagodny. Mimo to znać w nim było męża żelaznej, nieugiętej woli.

„Zkąd i dokąd?“ zapytał przybyłych krótko ale nie szorstko.

„Od wczoraj rana jedziemy z Smithfield. Byłem gościem u Wilhelma Larsen.“

„Wilhelm Larsen? Druch to dobry! Dokąd pan jedziesz teraz?“

„Tam za góry.“

„Po co tam dotąd?“

Człowiek pytał wprawdzie więcej, niż grzeczność na to pozwalała, ale nie czynił tego z jakiej złośliwości lub nieprzyjaźni. Wyraz twarzy jego był dobroduszny i pytał bardzo uprzejmie.

„Chciałem kraj zwiedzić i poznać, panie, nic więcej.“

Cień niepokoju przebiegł po twarzy jego, oko się zasepiło, ręką przeciągnął po brodzie i wyrzekł ostrzejszym już tonem:

„Kraj chcecie zwiedzić, mój panie? Ho, ho! Wiele jest takich ludzi, co pragną poznać ten kraj po za górami, ale nic innego nie poznają jak ot, to!“

Przy tych słowach uderzył pięścią w strzelbę swoją.

„Wiem już o czem myślicie“, odpowiedział zagadnięty spokojnie. „Nie należę do waszych nieprzyjaciół!“

Łagodniejszego wyrazu nabrała twarz nieznajomego. Zapytał:

„Więc pan Anglikiem nie jesteś?“

„Nie, jestem Polakiem z Poznańskiego. Nazywam się Rej.“

„Bardzo mnie to cieszy. Wiele słyszałem o Polsce. To samo was dotknęło nieszczęście, które nam Holendrom tutaj grozi — zupełna zagłada. . .“

Podali sobie ręce i serdecznie uścisnęli. W oku Reja łza się zakręciła smutna . . .

Boer spojrzał wesoło na Kafra i spytał:

„Wasz służący?“

„Służący, przewodnik i tłumacz. Człowiek to, jak drugiego nie ma na świecie. Sto pociech mam z niego.“

„Widać to, widać. No, na dzisiaj będę ja waszym przewodnikiem, jeśli nic nie macie na przeciw temu. Droga moja jest ta sama co i wasza. Nazywam się Andrzej Pretorius.“

Zdziwienie i radość odbiło się na twarzy Reja.

„Wierście mi, panie Pretorius“, zawołał, „że bardzo mi miło poznać męża, o którym tyle chlubnych rzeczy słyszałem.“

„Gdzieście to o mnie słyszeli, panie Rej, w Kapstadzie?“

„Wiele tam, a przedtem już w ojczyźnie mojej.“

„To i tam już mówią o nas?“ zapytał z wyrazem lekkiej dumy, na szlachetnej i pocziwej twarzy swojej.

„Zapewne!“

„I cóż tam myślą o nas? Czy popierają sprawę naszą czy Anglików?“

„Kochany panie, politykiem nie jestem wprawdzie, ale zapewnić was mogę, żeście zyskali sympatyę uczciwie myślących ludzi. Wiele już podróżowałem po różnych krajach, wiele ludzi poznałem, między innymi kilku Anglików, z którymi ściśle mnie wiążą stosunki i serdeczna przyjaźń. Jednakże trzeba umieć rozróżnić jednostki od całości Osobistego interesu w waszych stosunkach miejscowych nie mam wprawdzie, ale szczerze wyznaję, że bez wahania za bronię, gdybyście wy jej przeciw swoim wrogom potrzebowali.“

Pretorius raz jeszcze uściśnął rękę Reja.

„Dziękuję serdecznie! Mam nadzieję, że się nie znajdę w tak fatalnym położeniu, żebym was, panie, miał niepokoić i trudzić, ale wierzajcie mi, bardzo mi miło, że takie przyjazne słowa słyszę z ust męża, który choć z dalekich stron, sprawiedliwość uznać umiał sprawy naszej.“

Długi czas jechali w milczeniu obok siebie. Pretorius pierwszy znowu się odezwał:

„Powiem wam, panie Rej to, co odkryłem po długich medytacjach. Otóż, doszedłem do przekonania, że panowanie ludów nad morzem, a tem samem nad koloniami ciągnie się wybrzeżem na północ. Przypomnijcie sobie historię najstarszych wieków: Fenicyanie, Grecya, Rzym, Kartagina, w wiekach średnich Wenecya, Genua, Hiszpania, Portugalia, później Francya, Holandya a dzisiaj Anglia, jedno państwo po drugiem władczynią było morza. Wszakże mam słuszość?“

„Nie mogę przeczyć. Prawie muszę uznać prawdę myśli waszej, ale niezupełnie tak, jak to pojmujecie.“

„Proszę tylko uważać, a przyznacie mi zupełną słuszość! Holandia bardzo wiele, najwięcej może z wszystkich innych państw zdobyła kolonii. Dzisiaj każdy to widzi i uznać musi, że Anglia jej odbierze bezmała wszystko. Do tego czasu wydarli nam nasze kraje w Europie w Indjach i tutaj w Afryce. Los nasz i przyszłość da się łatwo odgadnąć. Walczymy wprawdzie dzisiaj o kawał ziemi krwią naszą okupionej, ale czy prędzej, czy później odbiorą nam wszystko. Anglia zawładnie Kaplandem. Ale przedtem będziemy się bronili, umrzemy śmiercią bohaterów. Czynów, które tutaj dokażemy nikt nie wspomni, nie będą o nas śpiewali jak o bohaterach europejskich, bośmy zdaleko od ojczyzny, ale synowie nasi i wnuki, gdy ich tu ztąd wypędzą pójdą dalej na północ i zachowają wspomnienie o nas dopóty, dopóki temu samemu co i my nie ulegną przeznaczeniu. . . . Każde stworzenie prawo ma do bytu i do życia. Każda roślina, każde zwierzę, każdy człowiek, każdy szczep i naród może się rozwijać na swój sobie tylko właściwy sposób. . . . Gdy naród jeden wyprze drugi z ziemi jego ojczystej, i jego zajmnie miejsce, dzieje się z nim tak jak z drzewem, które z ziemi wyrwane gdzieindziej pod obcym niebem i słońcem zasadzić chcemy. Zmarnieje ono i zniszczeje, bo słońko co mu dawniej przyświecało znikło, bo ziemia inna, bo wszystko mu obce. Chorzeje więc, słabnie aż w końcu zginie. Naród każdy, czy prędzej czy później, życiem własnym przypłaci śmierć tych, których zgniótł poprzednio sam. Zginiemy dla tego, żeśmy zgrzeszyli przeciwko czarnym mieszkańcom tej ziemi, a i Anglią ten los doścignie, choćby panowanie jej wieki się ciągnąć miało.“

„Tak myślicie?“ zapytał Rej zdziwiony szczerością towarzysza, który najskrytsze myśli swoje mu wyjawiał, tem więcej, że zaledwie od chwil kilku poznał go. „Jabym przeciwnie myślał, że o zupełnej zagładzie, o zniknięciu, tak jak wy mówicie mowy być nie może. Jeśli zmieszamy dwa pierwiastki chemiczne, cóż zau-

ważymy? Nie nikną one, ale przemieniają się w nową substancję. Nikną nam wprawdzie z oczu, ale żyją w rzeczy samej w tym choćby zupełnie nowym żywiole, który z ich połączenia powstał. Dzieje się to nie tylko w świecie nieorganicznym, ale i w świecie organicznym, do którego także człowiek a przez niego narody całe należą. Spójrzycie na Amerykę! Wskutek połączenia się tylu odrębnych zupełnie pierwiastków powstał nowy jakiś lud, ale w nim jednakowoż żyją owe pierwotne elementy i . . .”

„Bardzo to pięknie, mój panie, ale przecież nie zechcecie twierdzić, że stary Indyanin, pierwotny ów mieszkaniec Ameryki, żyje rzeczywiście w modnym jankesie! . . . Wchodzimy jednakowoż tutaj na pole, które, niestety, nie bardzo nam jest znane, abyśmy mogli o niem sądzić. A zresztą może fantastą jestem w przypuszczeniach moich. Gdybym tak wam ze wszystkich myśli swoich się wypowiadał, zapewne byście przypuścili, że fantastą jestem nielada.”

Powierzchnowość Pretoriusa kłam zadawała niejako słowu co dopiero wyrzeczonemu. Zdawać się mogło raczej, że olbrzymia postać człowieka tego, o rysach grubych choć szlachetnych do życia realnego, praktycznego tylko stworzoną była. Nie w nim na pozór nie było, z czegooby o bujnej fantazyi wnioskować było można. Ubiór miał prosty na sobie. Kapelusz pilśniowy szeroki, a długiemu żywaniem wytarty, ramiona i piersi okrywała szara, z grubego holenderskiego sukna sporządzona oponcza. Długie, nie w bardzo już dobrym stanie będące miał buty na nogach. W uzbrojeniu nawet ta sama się przebijająca prostota. W bawolą skórę oprawny nóż wisiał u pasa, na ramieniu wisiała stara już strzelba. Kto wiedział z jaką pewnością gbury używali swoich „rur“, łącznie mógł przypuścić, że i stara strzelba Pretoriusa niejednego Kafra, a może Anglika na drugi świat wyprawiła. . . .

Rej widząc więc przed sobą postać tę tak skromną, tak na pozór niewykształconego człowieka, uśmiechnął się i odpowiedział:

„Fantastą? Myślę raczej, że przypuszczeniami swojemi i rozumowaniem nie sięgacie po za obręb realnego życia. Kto słyszał o was, temu chyba trudno uwierzyć, że bujacie po krainie marzeń, że się bawicie złudnymi obrazkami fantazyi. Uwierzę chyba wtenczas, gdy dowodem niezbitym poprzecie swoje mniemanie o sobie. Sprawicie mi tem samem wielką przyjemność.“

„Tak? Przyjemność wam sprawię? A no, więc udowodnię. Otóż na przykład stawiam twierdzenie, że ludzie żadnej nie mają historii. Twierdzę to stanowczo i umiałbym nawet udowodnić!“

„Jeśli, mój panie, udowodnicie słusznemi racjami twierdzenie swoje, toć przecież fantastą nie jesteście!“

„W rzeczy samej dowodów przytoczyć mogę wiele. Nie jest to wcale tak trudno, jakby się zdawać mogło. Przed uczonym jakim profesorem nie mógłbym wprawdzie się z tem popisać, bo zazwyczaj panowie ci mają oryginalne jakieś opinie i dognata. Z materyału swoich myśli i konkluzyi stawiają oni jakieś niebotyczne domy, których, niestety, zamieszkać nie można, a niezważają wcale prawie na rzeczywistość. Z niej powinni oni zbudować gmach trwały, pod którego osłoną ludzkość cała w pokoju i zgodzie żyćby mogła. Mądrycy ci napisali tysiące ksiąg i historii, a jednakże w żadnej z nich prawdziwej historii znaleźć nie można.“

„Jak to?“

„Tak jest w rzeczy samej, mój kochany panie! Pozwólcie mi wytłómaczyć się. Historia naturalna z trzech składa się części. Z historii faktów natury, z sił fizycznych, z praw natury. Zadaniem jej jest zatem wykazać, jak pewne siły fizyczne podług pewnych niewzruszonych praw fizycznych pewne fakty fizyczne wywołują. To się także odnosi do historii powszechnej. Ma ona nas nauczać o prawach, o siłach i o faktach historycznych. Zadaniem jej jest udowodnić, że pewne historyczne siły, podług pewnych niewzruszonych praw historycznych, pewne historyczne zdarzenia wywołują. A któreż dzieło historyczne objaśnia nas co do tych sił i praw? Która księga uczona poucza nas o

koniecznem wywiązaniu się pewnego zdarzenia podług owych praw i za pomocą owych sił?“

Uśmiech znikł z twarzy Reja. Spoglądał zdziwiony na człowieka, który prostym rozumem takie rzeczy badał.

„Niezwykła jest wasza analogia, mój panie!“ odpowiedział. „Zdaje się jednakże że słuszność macie.“

„Zdaje się? Nie, tak jest rzeczywiście! Powiedźcie mi, coście znaleźli w księgach historycznych? Wyliczenie tych a tych zdarzeń historycznych, tych faktów, które się w pewnym oznaczonym czasie rozegrały, lub przynajmniej rozegrać miały. Jest to historia? Ależ przecież to tylko prosta kronika! Gdzież są siły, gdzie prawa historii? Badacz natury i chemik, zarówno są twórcami niejako — wprowadzie w bardzo ograniczonym słowa tego znaczeniu — bo za pomocą znanych im sił fizycznych i podług tak samo znanych praw przyrody zmieniają, niszczą i tworzą co chcą, co mogą. Coż czyni badacz historii? Zbiera on zewnętrzne fakty, porządkuje je podług własnej, dowolnej fantazyi, a nie może nic pewnego wyrzec o ich utworzeniu się i rozwoju. Mimo to nadaje on kalendarzowi takiemu bardzo niesłuszne miano historii! Tak, historia powinnaby być matką polityki! To zaś, co wy historią nazywacie niepotrzebną jest wcale zabawką. Czemże są wasi tak zwani politycy? Kłóć się oni między sobą o owoce drzew, których nie siali, a nie umieliby zasiać ziarna, któreby im takie same owoce przynieść mogło. Mówię wam, mój panie, dopiero wtedy będziemy mieli historię, gdy umysł nasz dotrze do owych głębin tajemniczych, z których przez Stwórcę wszechwładnego uporządkowane siły uniwersalne, podług niewzruszonych uniwersalnych praw, pewne zdarzenia tworzą. Wtenczas dopiero będziemy panami faktów. Wtenczas dopiero będziemy umieli tworzyć je i niszczyć i zmieniać jak rzemieślnik dzieło swoje, jak poeta swój utwór. Wtenczas dopiero matka historia zrodzi dziecię politykę, która jak królowa, ziemi przyniesie oliwną gałązkę pokoju, która miecz w lemiesz zamieni. Spór bowiem i walka staną się nie-

możliwemi, bo każdy znać będzie prawa i siły, któremi wszystko rządzić się powinno. Rozwój ludzkości na takie tory wejdzie, takich wyżyn osiągnie, że dzisiaj i marzyć o nich nie możemy. Daleko nam jednakże do tego! Szukajmy więc pilnie i badajmy owe tajemnice, uznając w ducha pokorze nieświadomość i głupotę swoją!”

Słowa te mówił Pretorius z prawdziwym zapałem. Zewnętrznie tak skromny, tak prosty człowiek, głębokim był myślicielem i filozofem.

Rej nic nie odpowiadał, milczeniem swoim słuszność przyznawał Boerowi.

Kawał znowu drogi ujechali w milczeniu. Pretorius zaczął znowu łagodnym swoim głosem:

„Był to rzut oka w przyszłość, mój panie. Pomysłmy także o teraźniejszości! Chcecie się dostać tam za góry. Czy macie tam kogo, do którego jedziecie?”

„Nie, nikogo nie mam. Sam jestem jak ptaszę w powietrzu, tam gdzie gniazdo znajdę, zostaję na jeden, dwa dni.”

W tej samej chwili zatrzymał Boer konia swego. Rej uczynił tak samo.

Tu i owdzie wznosiły się małe wzgórza, które nie dozwalały daleko widzieć, ale za to wyraźnie słychać było szybki tentent kopyt końskich.

„Któż to jedzie?” zapytał Boer niespokojnie sięgając po karabin, ale natychmiast zawiesił go z powrotem na ramieniu. Mały konik pędził szybkim galopem, a na nim dziewczę siedziało. Rej przyglądał się z zdziwieniem niezwyklej tej postaci.]

Na czerwonej, lekkiej sukience zwieszała się zgrabnie zarzucona skóra pantery, długie a ciemne jej włosy gęstymi spływały sploty na ramiona. Z różnobarwnych piór ptasich sporządzona czapeczka głowę okrywała. Z ciemnej cery twarzy jej i rąk łącno się było domyślić, że to kaperska dziewczyna być musiała. Rysy jednakże jej nic w sobie odrażającego nie miały, owszem twarzyczka inteligentny i bardzo miły miała wyraz.

Skoro obcych ludzi spostrzegła gwałtownie wstrzymała konia i ręką nóż chwyciła, którego rękojeść z pod skóry na ramieniu jej zawieszona wyglądała. Wkrótce jednakże rozśmiała się wesoło i radość wielką okazując, do Boera zawołała:

„Pretorius! Do nas wy jedziecie?“

„Tak, moja Mietje (Marya po holendersku). Matka w domu?“

„Tak jest.“

„A Jan?“

„Wszak wiecie, że pojechał z ojcem do Dingaana. O Boże, Boże, kiedyż oni wrócą? Czy w ogóle wrócą?“

„A ty? Dokądże tak pędzisz?“

„Do sąsiada Zelmsta. Spieszyć się muszę, bo matka zachorowała a Zelmst ma ją leczyć.“

„Ależ dziecko, przed nocą nie zajedziesz do niego, a droga ta niebezpieczną jest!“

Z lekkim uśmiechem odpowiedziała: „Ja się niczego nie lękam, pocziwy Pretoriusie, wszak o tem wiecie bardzo dobrze. Matka tym razem bardzo ciężko zachorowała, sąsiad musi koniecznie przybyć!“

„Czy ten Zelmst jest lekarzem?“ zapytał Rej.

„Nie, prostym on jest gburem jak my wszyscy, ale zna się na ziołach leczniczych“, odpowiedział Pretorius.

„No to w takim razie może Mietje spokojnie powrócić, matkę jej będę się starał uleczyć.“

Radośnie nań spojrzano dziewczę.

„To pan lekarzem jesteś?“ zapytało.

„Tak, jestem lekarzem i mam przy sobie małą apteczkę“, odpowiedział.

„To bardzo dobrze, lepiej nie może być nawet“, wtrącił Pretorius.

„Z powrotem więc. Moje dziecko, bądź dobrej myśli, bo rzeczywiście nie przypominam sobie, aby kiedy się lekarz w te zabłąkał strony. Mój panie, szybciej teraz pojedziemy, bo jak widzisz żwawe to dziewczę i cicho a spokojnie na koniu nie usiedzi.“

Puścili się więc ostrym kłusem i długo dosyć spokojnie jechali. Naraz głos jakiś przeraźliwy, ryczący za nimi dał się słyszeć. Obejrzel się po za siebie. Tragikomiczny widok przedstawił się ich oczom. Brabancki koń kafra pędził za nimi ale — bez jeźdźca. Cymbo zaś leżał dalej na ziemi, ręce i nogi jak struny wyciągnął i ryczał jak bawół:

„Panie, stój, — panie czekaj! O, o—o! Cymbo już nie ma konia i koń zgubił Cymbo! O, o! Koń ucieka, a Cymbo ruszyć się nie może, jechać nie może. Cymbo na ziemi leży i ręce i nogi pogubił. O, o—o, Cymbo umarł!”

Wszyscy serdecznie się uśmiali z pociesznego Kafra. Mietje z konia zeskoczyła i pobiegła do nieszczęśliwego.

„Cymbo się nazywasz? Czyś sobie co złego zrobił?”

„Tak, Cymbo nazywa się Cymbo, ale Cymbo sobie nic nie uczynił złego, tylko koń Cymbo szkodę uczynił!”

„Cóż cię boli? Czy plecy?”

„Tylko plecy mają Cymbo boleć? Cały Cymbo boli Cymbo, — o—o—, Cymbo już życia nie ma, Cymbo umarł!”

Rej także zsiadł z konia, chcąc się przekonać czy biedak rzeczywiście sobie czego nie zrobił, ale chociaż zbadał, że mu nic nie jest, Cymbo wrzeszczał i ryczał jak opętany, zapewniając, że wstać nie może, że umarł. Wtenczas i Pretorius zeskoczył na ziemię i nóż wyciągnął.

„Tak, Cymbo rzeczywiście umarł”, rzekł obojętnie.

„A jeśli nie wierzycie, to wam udowodnię. Rozerznię go a potem możecie zobaczyć, czy w nim jeszcze gdzie życie siedzi.”

Pochylił się nad Kafrem, chwycił go za gardło i nóż przyłożył. W jednej chwili zerwał się murzyn, rozpaczliwym skokiem na bok się rzucając.

„O, tylko nie rozrzynać Cymbo! Cymbo rzeczywiście umarł, ale Cymbo może jednak na koniu jechać!”

„To wsiadaj czempredzej i uważaj, żebyś znowu nie zleciał!”

Zmartwychwstały Kafer pozbierał z ziemi swoje drobnostki, które mu z czupryny wyleciały i wdrapał się na swoją kobyłę.

„Czy pan znowu tak prędko pojedzie?” pytał bojaźliwie.

Rej głową kiwnął potakująco.

„O, to przywiąż Cymbo“, prosił, „bo Cymbo dwa razy umrze!“

„To cię wtenczas rzeczywiście rozerznie!“ zapewnił Pretorius.

Podróźni dosiedli rumaków i w dalszą się puścili drogę.

Boer się odezwał do Reja: „Nieza długo dojedziemy do celu. Za pół godziny, sądę, będziemy w domu dziewczęcia, a wtenczas niech pan udowodni, że dobrym jesteś lekarzem . . .“



II.

O jakie sto mil od Durban na południe, a pięćdziesiąt od wybrzeży morza, leżała rezydencja groźnego Dingaana, naczelnika Zulusów.

Jak wszystkie wioski kaferskie, prostą i niepokązną była siedziba wodza. Niskie, brudne krale, chaty, stały wyglądając jak nasze ule. . . .

W samym środku wznosił się kral Dingaana. Niski doń wiódł otwór, tak, że człowiek schylić się musiał, by dotrzeć do wnętrza. W samym środku podpierał całą chatę ogromny pał, w ziemię wbity, nieco dalej stało jeszcze sześć słupów. Okien żadnych, ni otworu, obyczajem krajowym nie było, oprócz drzwi ciasnych. Wieczny zatem mrok osłaniał wszystko, i długo trzeba się było wpatrywać by można było rozeznąć co się tam znajdowało.

Przy tylnej ścianie, naprzeciw wchodu spoczywał na skórach zwierzęcych Kafer, mężczyzna silny, wzrostu olbrzymiego. Był to sam naczelnik, Dingaan. Obok niego siedziało w kuczkі kilku innych ludzi, zapewne radnych jego.

Wódz przepaskę miał na biodrach, skórę zwierzęcą na ramieniu, a w dłoni oszczep krótki. Zdał się zadowolony i myślący, bo długo leżał nie mówiąc. Wzrok niespokojny rzucał naokół.

„Mówilem już wam“, odezwał się wreszcie do swego otoczenia, „że dzisiaj mają przyjść biali. Czyście uczynili to, co wam przykazałem?“

„Wszystko! Wojownikom kazałem być w pogotowiu. Znaku twego oczekują.“

„A to dobrze“, odpowiedział Dingaan. „Uważać tylko a czekać. Zdaje się, że nie długo przybędą.“

W tej chwili wczółgał się do chaty Kafer, a przybliżywszy się do naczelnika na twarz przed nim upadł.

„Panie“, odezwał się, „biali wojownicy przybyli, chcą się widzieć z tobą.“

„A wielu ich tam jest?“ zapytał naczelnik.

„Wielu, może siedemdziesiąt mężnych a zbrojnych ludzi.“

„Tem lepiej“, odparł Dingaan, „im więcej ich zabije, tem większą mi to przyjemność sprawi.“

To rzekłszy, powstał i leniwie się przeciągając wyszedł z chaty. Radni jego za nim to samo uczynili.

Przed wioską stał oddział Holendrów z mężem sławnym a wojennym na czele. Zwał on się Piotr Retief, a był duszą i głową osady holenderskiej. Przy nim się znajdował syn jego Jan, młodzieniec dorosły, piękny a odważny. Biali żywo z sobą rozprawiali gdy naczelnik do nich przyszedł.

Piotr znał już od dawna Dingaana, na jego więc przybycie lekko głowę skłonił.

„Z czemże do mnie przychodzicie?“ zapytał wódz.

„Z prośbą“, odpowiedział Piotr Retief.

„Przedłóżcie mi ją, a co się tylko da, chętnie dla was uczynię!“

„Otóż przeszliśmy góry Kwatlamba, potężny naczelniku, a wiedząc że kraj ten do ciebie należy, z prośbą mnie wysłano, byś nam ustąpił na mieszkanie miejsca między rzekami Tugela i Unwolosi.“

„Biali wojownicy! Dingaan potężnym jest wodzem“, odparł z dumą naczelnik, „moc jego wielka a panowanie szerokie. Bogaty jest wielce, bo trzody jego na tysiące się liczą. Cóż mu więc zależy na małym kawałku ziemi? Bierzcie go, bierzcie sobie dla was i dla dzieci waszych. Przyjacielem chcę być waszym i sprzymierzeńcem.“

„Dingaan wielki i potężny jest naczelnik“, potwierdził Retief, „dzięki niech mu będą za łaskę jego. Ale jeszcze o jedną rzecz chcę cię prosić. Chcielibyśmy mieć piśmienne potwierdzenie tej darowizny.“

Wszystko mam spisane, ty tylko, potężny naczelniku, znak twój albo podpis połów!“

„I to może uczynić wielki Dingaan, naczelnik Zulusów. Dajcie papier, a zrobię co chcecie.“

Retief wydobył z zanadrza umowę spisana, syn jego, Jan, podał pióro i atrament i Dingaan położył pod pismem krzyż wielki na znak, że się na wszystko zgadza, co tam napisane. — Naczelnik czytać i pisać nie umiał.

Po skutecznieniu tego uściskał Dingaan Piotra i prosił go razem z jego ludźmi do kralu swego na kilkogodzinny spoczynek.

Holendrzy byli niezmiernie uradowani, ale też nie mniej zdziwieni z łaski i grzeczności Dingaana, którego znali jako okrutnika wyuzdanego. . .

Biedni ludzie upojeni radością. że to, czego się tak obawiali, tak pomyślnie się wiodło, o żadnej zdradzie nie myśleli. Spokojnie szli za naczelnikiem i na placu wielkim, w samym środku wioski, gdzie na nich za wczasu przygotowana czekała uczta, wygodnie się rozłożyli. Bion nawet niebacznie na bok odłożyli.

Dingaan z nimi pospołu usiadł wesoło rozmawiając i zachęcając do jedzenia i picia. Dość długo się tak bawiono, wszyscy wesołej byli myśli.

Po całej zaś wiosce niespokojnie się krzątano. Wojownicy od stóp do głów uzbrojeni biegali tu i tam, w gromadki się zbierali i zwolna i ostrożnie do środka wioski całemi oddziałami ciągnęli.

Do naczelnika przystąpił jeden z starszych Zulusów, coś mu na ucho szeptać. Dingaan natychmiast powstał i z całej piersi krzyknął: „Bulela umtagati.“ Zabijcie tych łotrów.

Równocześnie wypadli ze wszystkich stron uzbrojeni wojownicy i rzucili się na bezbronnych, nic złego nie przeczuwających Boerów.

Zamieszanie okropne powstało. Przestraszeni Holendrzy biegli szukać broni, ale nigdzie jej znaleźć nie mogli, bo ją za wczasu usunięto.

Stary Retief szepnął na ucho synowi swojemu, by zbiegł co rychlej. Ratunku innego nie było. Wśród

ogólnego zamieszania udało się Janowi do koni dotrzeć. Dosiadł więc jednego i uciekał co sił starczyło, niosąc rodzinie i druhom smutną tę wiadomość.

Boerzy tak zdrażliwie napadnięci bronili się czem mogli i jak mogli. Mężnie walczył Retief, niejednego Kafra trupem położył, ale przemocy uleść musiał. Zginął z ręki krwiożerczego Dingaana. Towarzyszy jego siedemdziesięciu temu samemu uległo losowi.

Jan uciekał co koń wyskoczy, w sercu zemstę poprzedzając krwawą.

Bez spoczynku prawie żadnego, biegł dniem i nocą a trzeciego dnia na schyłku z sił wycieńczony do domu dojechał.

Okurzony, zmarnowany wpadł do izby i natychmiast runął omdlały na ziemię.

Wylęknła się stara matka, krzyknęła Mietje widząc Jana w tak oplakany stan. Pretorius Andrzej i Rej w tej samej na szczęście siedzieli izbie.

Udało się im wreszcie do przytomności przywieść nieszczęśliwego. Pierwsze słowo, które z ust jego padło dreszczem i bólem przejęło wszystkich.

„Zginęli!“ szepnął Jan.

„Na miłosierdzie Boże, opowiadaj co się stało i jak do tego przyszło.“

Słabym głosem jął opowiadać Jan całą przygodę tak nieszczęśliwą.

Wzburzył się Pretorius, wzburzył się Rej i zemstę wszyscy i odwet krwawy okrutnikowi poprzysięgli.

Nazajutrz wyjechał Pretorius zwoływać Boerów wszystkich w okolicy mieszkających na wspólną radę. Dzień wyznaczono dziesiątego grudnia na owe zebranie.

Jan przyszedł wkrótce do sił i żywo zaczął się krzątać nad przygotowaniami do wyprawy. Wyjechał i nie miał powrócić aż po naradzie. Rej pozostał tylko na wszelki wypadek w domu, jako stróż starej matki i dziewczęcia.

Przez kilka dni pobytu w domu tym zaznajomił się doskonale Rej z pocziwymi, choć prostymi mieszkańcami jego. Sercem całym przylgnął do nich, bo

ludzie zacni byli. Nawzajem także pozyskał i on zaufanie matki, Jana i Pretoriusa.

Bolesnie nad wszelkie wyrazy dotkniętą rodzinę pocieszał jak mógł, jak umiał. Do pomsty nad wrogiem i do obrony w razie potrzeby obiecywał swą pomoc.

Został więc w końcu sam Rej z starą kobietą, z Mietje i ze służbą. Nie mając dniami całymi co robić, chętnie chodził na polowanie, zabierając przytem zabawnego swego adjutanta i przewodnika — Cymbo.

Kilka tygodni minęło spokojnie. Dnia pewnego przybyli z powrotem Boerzy. Życie inne zawitało do domku Jana.

Wesoło i gwarno było, bo poczciwi, zacni Boerzy gwarnie tylko zabawiać się umieli. Na tajnem zebraniu z którego powracali, postanowiono zemścić się na okrutnym Dingaanie. Wyprawę naznaczono na początek następnego miesiąca. Kilka dni było jeszcze czasu.

Boerzy zatrzymali się w domu Jana. Dla skrócenia czasu postanowiono zapolować w okolicy.

Pewnego pięknego dnia wyruszono na łowy. Okolica piękną była, pełną dzikiego zwierza.

Droga ich prowadziła wzdłuż wybrzeży rzeki. Pretorius stary wyjechał naprzód na przepatrzenie okolicy. Niedługo trwało, a Boer powrócił z pomysłą dla łowców nowiną, że natrafił na ślad słoni, lwów i bawolów.

Ochoczo udali się myśliwi w tę stronę. Rej się znajdował między nimi wraz z swoim Cymbą.

Pretorius stary jechał spory kawał naprzód dla ostrożności, by z nienacka nie być napadniętym.

Reszta łowców wesołą się zabawiała rozmową.

„Czyście już kiedy polowali na bawoły?“ zapytał Jan Retief Reja.

„Nie tylko że polowałem, ale ubiłem już niejednego, ale to było w Ameryce południowej. Tam bawoły są jednakże bardzo niebezpieczne zwierzęta i walka z tygrysami bodaj mogłaby być niebezpieczniejszą.“

„Ręczę“, odparł Jan, „że tutejsze bawoły kubek w kubek podobne są do indyjskich.“

Nadjechał Pretorius i oznajmił, że wytropił stado bawołów, pasących się z drugiej strony wzgórza. Według jego zdania trzebaby je okolic i nagać do rzeki.

„Radzę wszystkim“, odezwał się, „być ostrożnymi, zwłaszcza, że kula karabinowa nie zawsze zdoła przebić grubej i twardej skóry ciała bawołu, najlepiej mierzyć pod łopatkę. Na żaden sposób nie trzeba się zbliżyć do ranionego zwierzęcia, chociażby one klęko już na kolana. . .“

Radę jego i zapatrywania wszelkie przyjęto łącznie, bo wszyscy go znali jako starego a doświadczonego myśliwca. Łowcy, wszyscy konno, zajęli stanowiska nad brzegiem rzeki. Kafrzy, których mieli z sobą rozpuszcili psy, a sami się rozbiegli na wszystkie strony i piekielnym wrzaskiem poczęli straszyć zwierzęta.

Bawoły z początku stały czas niejakiś zdziwione, a potem puściły się pędem przez las wąski i rzadki ku rzece, a myśliwi za nimi.

Nie trwało długo, a wszystkie bawoły dopadły do rzeki i hurmem się rzuciły w gęstwinę trzciny i sitowia rosnącego nad brzegiem.

Pretorius naznaczył każdemu stanowisko, którego przed danym wystrzałem opuszczać nie miał. Za chwilę rozległ się pierwszy strzał. Jan Retief i Rej wjechali w trzcinę. Konie ich po brzuchy brnęły w wodzie. W ślad za nimi puścili się inni łowcy. Wyraźnie słyszano chrapanie bawołów i przedzieranie się ich przez gąszcz, ale niczego nie można było dostrzedz, ponieważ sitowie sterczało wysoko po nad ich głowy.

Położenie ich było w rzeczy samej bardzo niebezpiecznem.

„Źle z nami“ zawołał na nich Pretorius jadący na czele; „najlepiej zrobimy, jeśli się cofniemy, bo tu nie tylko nie możemy się bronić przeciw możliwej napaści bawołów, ale my sami możemy się łatwo wystrzelać, bo w gąszczu takim jeden drugiego nie widzi.“

Zaledwie te słowa przebrzmiały, gdy nagle tuż obok głośne parskanie dało się słyszeć, przytłumiony ryk

i ogromne jakieś bydlę wtrąciło Jana Retiefa z koniem we wodę. . . . Wszystko naraz znikło, i Jan i koń i ów potwór. . . .

Przerażony Pretorius doskoczył z Rejem na pomoc. Woda była wprawdzie na dwa łokcie głęboka, ale błota pełna. Trudno więc było Jana razem z koniem wydobyć. Nieszczęśliwy bliskim był uduszenia.

Jan ledwo mógł oddychać. Wyprowadzono go więc co rychlej na wybrzeże.

„Co to było? Co się ze mną stało? . . .“ zapytał Retief. „Dalibóg nie wiem co to za bestya mnie wrzuciła do wody.“

„Pewnie jaki uciekający bawół“, odpowiedział Pretorius. „Dziękuj Bogu, żeś się mu na rogi nie dostał. Bokiem się musiał otrzeć o ciebie. Jeśli masz siłę, wstawaj i siadaj na konia, bo niebezpiecznie by było tutaj pozostać.“

„Nic mi nie jest. Przestraszyłem się tylko na razie, myślałem także, że i koń mój bez szwanku wyszedł z tej awantury.“

Pretorius posłał natychmiast Kafrów z psami w sitowie, by ztamtąd zwierza wypłoszyli. Skoro tylko dał się słyszeć hałas i nawoływanie w trzcinie, wypadł jeden bawół w stronę, gdzie się znajdował Retief z Rejem. Jan zmierzył, dał ognia a zwierzę padło na kolana.

Cymbo widział to, dobiegł do ranionego bydlęcia z nożem, chcąc je zabić zupełnie. Nierozsądny Kafer nie zważał na ostrzegające wołania Reja. Stał tuż przed łbem bawoła, gdy zwierzę ostatnimi siłami zerwało na nogi i pochwyciwszy Cymbę na rogi, wyrzuciło go na kilka łokci w górę. Kafer wrzasnął przeraźliwie, przewrócił w powietrzu kilka młynców i wpadł w sitowie. Rej dobił celnym strzałem rozwścieczonego zwierza.

Cymbo tymczasem wylazł powoli z trzcin, narzekając, ryczał jak opętany:

„O — o — niedobry bawół zabił Cymbo, zabił! . . . Cymbo już drugi raz umarł, ale uciekać musiał, boby

inny bawół wziął go jeszcze na rogi. Ale Cymbo odważny, Cymbo się nie boi bawołów.“

Nieszczęśliwy Kafer skoczył jak szalony do powalonego na ziemię bydłęcia i nóż mu utopił w gardzieli.

„Bawół Cymbo wziął na rogi, a Cymbo gardło prze-rznął. Kto odważniejszy? Kto mocniejszy?...”

Nie można było zważać na krzyki zagniewanego Kafra, pastwiącego się mściwie nad zabitym bawołem, który mu taką krzywdę wyrządził, bo polowanie coraz szersze przybierało rozmiary.

Hałas, wrzask dzikich, stawały się coraz zajadlejszemi. Bawoły przedzierające się przez gęstwinę, łamiąc krzewy i drzewa, sprawiały przerażający szum i szelest. Z obawy aby rozszalałe zwierzęta nagle wypadłszy nie pokusiły się zaatakować, cofnęły się Rej i Jan na wzgórze wolne od zarośli.

Tu stanąwszy, mogli ze siodła przejrzeć przez trzcinę i widzieć dokładnie co się na drugiej stronie działo.

Mimowoli okrzyk trwogi dobył im się z piersi. Konie Boerów biegały jak szalone, a myśliwców ani śladu. Po chwili dopiero spostrzegli ich na drzewach. Na dole zaś ciekawa, krwa rozgrywała się tragedia. . . .

Tygrys przywabiony hałasem, a krwi zapachem, powoli się czołgał i kociemi się rozglądał ślepiami za zdobyczą. Upatrzył sobie ofiarę, olbrzymiego bawołu. Przysiadł do ziemi, do skoku się gotując. Zwierzę zaś przeczuło znać niebezpieczeństwo, bo niespokojnie się zakreśliło a potem w ostatniej chwili, gdy już, już miał tygrys do gardła mu przyskoczyć, zgięło kark, nachyliło łba i tygrys wpadł na rogi jego. Na wylot się przebił. Krwią zaszczyły ślepie potwora. Drgnął kurczowo, i łapy swe straszliwe wbił w kark bawołu zdrapując skórę i mięso aż do białej kości. . . . Ryk wściekły się rozległ, bo oba zwierzęta ranne śmiertelnie bronili się sił ostatkiem.

Pretorius siedzący na najbliższym drzewie wypalił. Kula przeszła serce tygrysa. Równocześnie druga kula utkła w łopatce bawołu. Straszliwi zapaśnicy runęli na ziemię.

Boerzy powoli poślazili z drzew, a Kafirzy rozbiegli się łapać konie ich spłoszone.

Długo dosyć trwało zanim się Boerzy zebrali. Oglądano dwa poległe potwory.

Pretorius stary, zapalony myśliwiec jał żywo opowiadać Rejowi i Janowi przebieg polowania. Obaj młodzi ludzie słuchali z uwagą.

„Ani wiecie“, zaczął Pretorius, „w jakim niebezpieczeństwieśmy się znajdowali. Staliście z drugiej strony rzeczulki, to też nie możecie wiedzieć, co się z nami działo. Daliśmy po kilka razy ognia i mieliśmy już dwa bawoły ubite, gdy w tem rozjadłé jedno zwierzę wyskoczyło z gęstwiny i z wściekłością się rzuciło na naszego pocziwego Zelmsta. Ten, nie mając czasu wystrzelić, chciał szybko konia nawrócić i uciec, ale zanim zdołał targnąć wędzidłem, już rogi bawołu tkwiły pomiędzy żebrami konia jego, tak że nieszczęśliwe zwierzę runęło na ziemię razem z jeźdzcem. Bawół uderzył teraz na Zelmsta, który na nieszczęście miał nogę pod koniem. Szczęśliwym zwrotem zdołał jednakże uniknąć przebiccia, tylko potwór rogiem skórę zdarł mu z żebra. W tej chwili dałem ognia i zraniłem napastnika, który teraz prędko się zwrócił i uderzył na mnie. Zdołałem prawdzie konia zwrócić do ucieczki, ale przestraszony rumak skoczył tak nagle, że popręg pękł, a stopy moje wypadły ze strzemion. Już, już miałem upaść . . . a potwór tuż za mną . . . gdy na szczęście koń mój wbiegł pod drzewo, a ja ręką chwyciłem się gałęzi. Stało się to szybko, a bawół był tak blisko, że kiedy zawisłem rękami na gałęzi, zwierzę straszliwe uderzyło mnie grzbietem w nogi. . . Nic mnie się jednakże złego nie stało. Nie pusiłem gałęzi, a w chwil kilka wygodnie siedziałem między konarami drzewa. Bawół widząc uciekającego konia bez jeźdźcy, stanął i począł się za mną oglądać. Mnie wprawdzie nie dostrzegł, ale za to dostrzegł Zelmsta, który się wygramolił z pod zabitego konia i legł osłabiony pod drzewem. Dreszcz mnie przeszedł, gdy zobaczył, że rozjuszony potwór z rykiem popędził ku niemu. Na nieszczęście żadnego z Boerów w blis-

kości nie było. Sądziłem, że biedak zgubiony, sztuciec mój był na razie nie nabity. Bawół zaledwie dziesięć kroków był oddalony od Zelmsta, gdy jeden z Kafrów, pocciwy wasz Cymbo, panie Reju, za drzewem ukryty, dał ognia, trupem, kładąc napastnika. Bestya runęła u stóp Zelmsta, który sądził, że ostatnia dla niego wybiła godzina.“

„Fatalny wypadek“, odparł Rej, „może Zelmst Bogu dziękować za cudowne nieomal ocalenie. Gdyby nie mój Cymbo, nie wiele by pewnie pozostało z niego. Potwór by go roztrącił w drobne kawałki.“

„Co się potem stało, toście sami widzieli“, opowiadał dalej Pretorius, „jak tygrys się rzucił na bawołu i jakeśmy na drzewa musieli powłazić. Szczęście od Boga, że bestya ta na rogi wpadła bawołu. Kto wie, czybyśmy jej radę dali.“

„Wolałbym dziesięć razy polować na tygrysy, lwy i lamparty, aniżeli na bawoły“, jęknął na ziemi leżący. pokrwawiony Zelmst. „Na całe życie mam pamiątkę.“

„Mnie się też tak zdaje“, potwierdził Pretorius, „to nadto dzikie zwierzęta, a niezwykle grubość ich skóry zasłaniająca je przed kulami, powiększa niebezpieczeństwo!“

Z gromadki Kafrów, stojących tuż za Boerami wysunął się Cymbo. Twarz swą wykrzywił dziwacznie i dumnie się prostując stanął przed Zelmstem.

„O Cymbo jest wielkim wojownikiem“, wyrzekł z powagą. „Cymbo jest mężny i odważny. Cymbo też już siedział na rogach bawołu, ale bawół go musiał rzucić, bo wiedział, że Cymbo jest odważny. A teraz i drugiego zwierza Cymbo ubił w sam czas, nie prawda? Rana się zagoi, Cymbo przyłoży ziela uzdrawiającego, obwinie kozłą skórą poranione miejsce i pan będzie zdrowy.“

Pocciwy Kafer poskoczył z radości. Bardzo mu to schlebiało, że uratował życie Boerowi, że się mógł pochwalić z swą odwagą.

Pretorius tymczasem kazał Kafrom sporządzić nosze i miękkim je usłać liściem, by można chorego Zelmsta na nich do domu odnieść.

Skoro wszystko było w pogotowiu ruszył Pretorius z Boerami i Kafram i niosącego Zelmsta, naprzód. Jan i Rej w tyle za nimi podążali.

W drodze opowiadał Jan Rejowi co Boerzy postanowili na tajnem zebraniu, kiedy i jak mają uderzyć na Dingaana, by krwawo się zemścić za śmierć okrutną swych towarzyszy.

Rej podał mu rękę i rzekł: „Bądźcie pewni, że we mnie szczerego znajdziecie sprzymierzeńca. Chętnie wam będę pomagał przeciw nieprzyjaciołom waszym!”

„Jak się zdaje”, rzekł Jan, „to Anglia posiłkuje Kafrów, wojsko swe i broń im nasyła. Chcą nas zgnieść, chcą wyniszczyć!”

„Rozumiem ja dobrze, panie Retief, dla czego Anglicy waszej zguby pragną. Gdyby was bowiem w spokoju zostawili, urosłobyście w naród, któryby mógł śmiało czoło stawiać dumnej mórz królowej. Sama zaś Anglia nie śmie was napastować, boć przecież powodu nie ma, posiłkuje więc tych, którzy jak ona na waszą czekają zagładę. . . Ale dosyć o bolesnych tych sprawach. Powiedzcie mi, panie Retief, zkąd się u was w domu wzięło to kaferskie dziewczę, Mietje? Wybaczcie jednakże próżną ciekawość moją. . .”

„Ależ, proszę bardzo, proszę”, grzecznie odpowiedział Jan. Zupełnie mam zaufanie do pana, choć od niedawnego go dopiero poznałem czasu. Chętnie opowiem historję dziewczęcia tego, naturalnie o ile sam wiem, bo zkąd ona pochodzi, kim są jej rodzice, nikt z nas nie wie. Przed kilkunastu laty polował ojciec mój nieboszczyk w górach Kwatlamba. Otóż w dzikim zupełnie już miejscu, w wąwozie nagiemi najeżonym skałami usłyszał naraz płacz dziecka. Przestraszyło go to niezmiernie i nie mniej zdziwiło zkąd tam, w dzikiej pustynnej okolicy dziecko się wzięło. Pobiegł natychmiast za głosem i . . . nieżywą znalazł kobietę kaferską na ziemi, z kwilącym dzieckiem u piersi. Natychmiast wziął dziecinę na ręce, dał jej się napić i nakarmił ją. Z szyi matki zdjął naszyjnik z kłów dzikich świń i bawołów i jedyny ten znak zachował. Dzisiaj Mietje go nosi na szyi. Matkę zmarłą po-

chował mój ojciec na miejscu gdzie ją znalazł, a dziecko przyniósł z sobą do domu. W domuśmy ją ochrztili, w domu u nas się wychowała i na zawsze da Pan Bóg u nas pozostanie. Jest ona moją narzeczoną, a po wyprawie wesele urządzę. Dziwną jeszcze okoliczność dodam. W kilka tygodni po znalezieniu dziecka, znajdował się ojciec mój w tem samem miejscu, gdzie pochował matkę dziewczęcia i cóż? — grób znalazł rozkopany, bez ciała nieboszczki. Kto to uczynił do dziś nie wiemy. Tajemnica głęboka osłania przeszłość biednego dziewczęcia.“

Dwaj młodzi ludzie wjechali właśnie do lasku małego. Coś niespodziewanego musieli dostrzedz, bo konie wstrzymali.

„Widzicie tam, tam jeździec jakiś pędzi“, krzyknął Rej.

„Widzę doskonale, a za nim bawół goni. Na miłość Boską spieszmy mu na pomoc, bo za chwilę będzie za późno.“

Już, już bawół miał na rogi pochwycić uciekającego jeźdźca, gdy dwie kule ugodziły go pod łopatki, tak, że natychmiast runął.

Jeździec wstrzymał konia, głęboko odetchnął i za myślił się. Nie stary to był jeszcze człowiek. Twarz miał bladą, przeciągłych rysów, oko przebiegłe i chytrze biegające. Odziany był w wyszarzały mundur angielskiego oficera, w rękę trzymał karabin. Na głowie miał czapkę, za pasem dalekowiedz.

Nie bardzo miłe wrażenie sprawił na Reju i Janie nieznajomy, nie myślał bowiem wcale dziękować im za uratowanie życia, dumnie owszem i niejako z pogardą spoglądał na nich. Boera nie mało dziwiło zkad się Anglik mógł wiaść aż z tej strony gór Kwatlamba, a do tego oficer, jak można było puszcząć.

„Z kim mamy zaszczyt spotkać się?“ zapytał po małej chwili Jan.

„Silbert Green!“ wycedził Anglik przez zęby.

„Co was tu dotąd przyniosło?“

„To co i was, polowanie!“

„To chyba bawół was gonił aż z po za gór Kwatlamba?“ ironicznie zapytał Rej.

„Cóż to was obchodzi?“

„Co mnie obchodzi? Właściwie wcale mnie nie obchodzi kim jesteście, ale sądzę, że sir Green powinienby przynajmniej grzecznie podziękować za ocalenie życia.“

„Nikt was o tę przysługę nie prosił“, rzekł obojętnie Anglik, zwracając konia.

Z pogardą nań spojrział Rej, a potem nie myśląc wcale go wstrzymywać, szepnął Janowi na ucho:

„Człowiek ten niebezpiecznym jest. Czemu tań przed nami miejsce swego pobytu? Dobrze będzie, gdy pojedziemy w ślad za nim.“

„I ja tak sądzę“, potwierdził Jan. „Przeczuwać można, że ma tutaj gdzie ukrytych współników swoich, boć inaczej nie byłby się z nami tak niegrzecznie obszedł. Musi się czuć bezpiecznym. Ja znam Anglików i wiem dobrze, że wtenczas tylko zwykli być niegrzecznymi, gdy czują przewagę po swojej stronie. Zresztą są to pierwsi tchórze na świecie!“

„Niech będzie jak chce“, dodał Rej, „w każdym razie przekonać się musimy, co to jest za człowiek i dokąd on jedzie. Cymbo“, zwrócił się do swego Kafra, „jedź do domu i powiedz Pretoriusowi, żeby się o nas nie lękał, bo dla pewnej przyczyny później dopiero wrócimy.“

„O! Cymbo dobrze powie“, odparł murzyn, „powie, że pan niedługo wróci. Ale szkoda tego bawołu, trzeba go do domu zawlec, bo tutaj go dzikie zwierzęta zjedzą, a Cymbo lepszy przecież od tygrysa albo od lamparta. Czemu Cymbo go nie ma zjeść?“

„Idź teraz, idź, bo czasu nie ma, później możesz wrócić z kilku ludźmi i zabrać co chcesz!“

Jan Retief i Rej puścili się więc w pogoń za Anglikiem. Nie trudno im było iść za nim, bo wyraźne ślady pozostawiał po za sobą. Po upływie mniej więcej dwóch godzin znaleźli się w górach. Świeżem leśnem powietrzem z przyjemnością oddychali. Promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez gąszcz liści.

Las cały szumiał życiem, drżał głosikami tysięcy świerszczyków, ptasząt śpiewaków.

Śliczny lazur niebieski widniał z po za liści, wszystko, wszystko co było na ziemi kapało się w blasku promieni słonecznych. Cień pni wysokich daleko się rysował na miękkich puchach mchu zielonego, na trawach i ziołach wonnych.

Był to właśnie czas wielkanocny, rzekłbyś natura cała zmartwychpowstała. Z każdego pnia suszą zmarowanego drzewa nowe latorośle puszczały, nowe listki ciekawie się wychylały z miękkich błonek. Skala nawet obrosła tysiącem korzeni, mech jak kobiercem całą ją okrył, cierniste krzaki i powoje daleko i bujnie po niej się wili. Smukłe łodygi liana pięły się wysoko po drzewach, kwiatków niezliczone roje otworyły swe pączki i zielono, niebiesko, czerwono, żółto, oranżowo całą umiały przyrodę. Po orzeźwiającym deszczu szybko wystrzeliły szare grzyby na powierzchnię, a wszystko w lesie ożyło, wszędzie nowe, radosne życie. W bujnym kwieciu skaczą i trzepoczą, świszczą i świergoczą miliony małych, krótko żyjących stworzeń. Ale któż na nie zważa, gdy chóry ptasząt tak mile śpiewają, żegnając zachodzące słońce.

Zwolna wszystko cichnie i coraz wyraźniej słysząc lekki szmer leśnego strumyka, szybko się toczącego między skałami po kamieniach, po miękkim mchu, hen aż ku dolinie. I tutaj pełno życia w tej wodzie szmerzącej. Nad jej łożyskiem bujniej porosła zieleń, a ponad nią nowy świat stworzeń wesoło w promykach słoneczka kołysze się nad wodą i jedwabne snuje sieci. Coraz ciszej i ciszej, coraz mniej słońce przyświeca, aż nagle gdzieś się podziało, ostatni jego promyczek zadrżał na najwyższym listku i zgaskł.

„O jakże tu pięknie, jak przyjemnie“, rzekł Jan do Reja. „Powiedźcie mi, czy tam u was w kraju też tak pięknie?“

„U mnie w kraju?“ zapytał Rej i łała mu błysła w oku. „U mnie w kraju, ach kochany mu Janie, to raj. Wiele zwiedziłem stron dalekiego świata, na wiele cudów się napatrzyłem, ale wierzaj mi, nic to

wszystko! Nie umiem wam powiedzieć co tam mnie tak ciągnie do mojej ojczyzny, czemu tam mi najlepiej, czemu innem serce drga życiem, gdy o tych moich lubych stronach pomyślę. Inaczej tam słonko świeci, inaczej lasy pachną, inaczej ptaszki śpiewają. Tutaj piękne wszystko, ale ja nie wiem, nie ma tego powabu, nie ma tego co za serce chwyta. Och, na samą myśl, że da Bóg doczekać a ujrzę choć raz jeszcze mój kraj, serce mi rośnie. Lotem ptaka chciałbym lecieć tam, tam do swoich, tam gdzie tyle ukochanych napróżno mnie oczekuje. . . Janie, połowę bym życia oddał za kilka chwil szczęśliwie spędzonych tam u siebie, w mojej ojczyźnie.“

Pocziwy Rej mówił z natchnieniem, widać było, cierpiał, że do kraju powrócić nie mógł. Łza jedna i druga stoczyła się po jego licu.

Jan chciał właśnie zapytać z jakich powodów do ojczyzny nie wraca, gdy ważna jakaś okoliczność zamknęła mu usta.

Nasi dwaj przyjaciele stali właśnie na zrzebie skały. Wzrokiem mogli sięgnąć daleko w około. Spojrzeli w dolinę i — natychmiast na ziemię się rzucili. Cały obóz tam zobaczyli. W środku samym płonęło ognisko, a naokół niego siedziało kilka postaci.

Rej przyłożył do oka swój dalekowiedz.

„To są murzyni, a między nimi nasz Anglik, za którym gonimy“, rzekł Rej do Jana, podając mu dalekowiedz.

Jan spojrzał ale natychmiast odjął, chwycił Reja gorączkowo za rękę i szepnął:

„Na Boga, to sam Dingaan, wódz naczelny Zulusów, to morderca mego ojca! Ha, zemsty godzina nadeszła!“

„Cicho się zachowujcie, bo może być źle z nami,“ przestrzegł Rej. „Jeżeli to na prawdę Dingaan, jak mówisz, to musimy się mieć na baczności, bo to szczywany lis. Jeśli się dowie że tutaj jesteśmy, zginiemy!“

„Będę cicho, ale zemścić się muszę, zabójcy ojca mego przebaczyć nie mogę!“

„Dobrze będzie, jeżeli wpadnie w ręce nasze, ale biada nam, gdyby on nas zawczasie spostrzegł. Uwa-

źnie się zatem zabierzmy do dzieła. Najbezpieczniej będzie odczekać nocy, kiedy wszyscy do snu się ułożą. Wtenczas łatwo nam będzie wystawione na posterunku warty z drogi usunąć. Starajmy się o ile możności pochwycić także Gilberta, Anglika. Ważne on nam może tajemnice zdradzić. Kto wie, co nad naszą głową wisi, co Anglia przeciw wam knuje.“

„Łapcie sobie Anglika, mój panie Reju,“ żywo odparł Jan, „ja mam do załatwienia rachunczek z Dingaanem. Krew ojca mego o zemstę woła, i złym byłbym synem, gdybym go nie pomścił!“

Rej objął za szyję wzruszonego młodzieńca i rzekł łagodnie: „Wszak jesteście chrześcianinem, mój panie? Pomnijcie, że Pismo święte powiada: Zemsta jest moja, mówi Pan! Nie zemsta, nie namiętność powinna wami powodować, bo postępek wasz grzesznym się stanie, popełnicie proste morderstwo, tak samo karygodne, jak to, które Dingaan na ojcu waszym popełnił. Pomnijcie dalej na słowa Chrystusa Pana: Miłujcie nieprzyjacioły wasze Wszak Zbawiciel nasz wprost zakazał mścić się?“

„Mój panie“, odparł Jan, „za wiele odemnie wymagacie. Jakie wy teorye wygłaszacie? Zamieńcie słowa wasze w praktykę, a zobaczycie co się stanie. Świat się zapełni wszelkimi wyrzutkami społeczeństwa, bo według tego coście powiedzieli, przed chwilą należałoby pootwierać wszystkie więzienia i wolnością udarować wszystkich złoczyńców, morderców, mężobójców, złodziei . . . Gotowicie jeszcze udarować ich hojnie i mile pożegnać, bo Chrystus powiedział: Miłujcie nieprzyjacioły wasze. Czyliż widzicie teraz niesłuszność waszej teoryi?“

Rej wysłuchał spokojnie słów Jana, uśmiechnął się i odrzekł spokojnie:

„Pozwólcie teraz, że i ja wam wykażę niedorzeczność waszego rozumowania. Wy apoteozujecie zemstę. Pomyślcie teraz, w co by się świat obrócił gdyby zemsta miała powodować czynami ludzkimi.

Ziemia obróciłaby się w klatkę, dzikich jakichś bestyi. Człowiek by czychał na człowieka jak myśliwy

na zwierzynę. Gdybyśmy zemstę usprawiedliwili, tobyśmy, konsekwentnie postępując, usprawiedliwiać musieli tysiące owych zbrodni przez zemstę dokonanych, toby żaden człowiek życia swego pewien nie był.“

„Dość już dość“, przerwał Jan, „zawsze to lepiej, boby sprawiedliwość była na świecie, a podług waszej teoryi tak nie jest!“

„To się mylicie“, odpowiedział Rej. „Mieszczanie dwa pojęcia, rozróżnić ich nie umiecie. Zemsta i sprawiedliwość nic z sobą wspólnego nie mają, mieć nie mogą. Zemsta człowieka zaślepia, człowiek mściwy nieraz później żałuje kroku, który popełnił a którego niestety naprawić już nie może. Zemsta jest, raz jeszcze powiadam, karygodnym występkiem, bo do zbrodni wiecie, a sprawiedliwość jest cnotą. Zemsty skutek zowie się zbrodnią, sprawiedliwości — karą. Zupewnie prosty dam wam przykład, a zaraz zrozumiecie rzecz całą. Dziecko zawiniło ciężko przeciw ojcu własnemu. Było mu nieposłuszne, krnąbrne uderzyło go może, przypuśćmy, na życie jego nastawało. Ojciec karę wymierza temu dziecku. Powiedzcie mi, mści się ten ojciec nad synem? Czy dla tego go karze, aby zemsty pragnienie zaspokoić? Sami przyznacie, że ojciec nie może, niema prawa mścić się nad dzieckiem, że je karze za występki dla tego, aby dziecię sprawiedliwości, cnoty nauczyć, aby sprawiedliwości nie zemście zadosyć się stało. Zbrodnia zatem wywołać powinna karę słuszną i sprawiedliwą, nie zemstę. Mówicie że podług mego zapatrywania należałoby wolnością udarować wszystkich zbrodniarzy. Nie, nie zrozumieliście mnie. Chrystus powiedział: „Miłujcie nieprzyjaciół, ale nie nie powiedział, miłujcie zbrodnie, które bliźni wasz popełnia. Chrystus owszem za grzech karać każe. sam przykładem swoim nas tego nauczył, przekupniów z świątyni wyrzucając. Grzech i złe czyny mamy nie-nawidzić ale bliźniego miłować, choćby pełen był zbrodni najokropniejszych. Ukarać m u s i m y, panie mój, człowieka, który złego się dopuścił, po pierwsze dla dobra jego samego, by go od dalszych występków uchronić, po drugie dla dobra innych ludzi, by ich

uchronić od szkodliwego wpływu zbrodniarza, a potem by im dać przykład dosadni, że zbrodnia złem jest, by ich przez karę, na którą patrzą, o której wiedzą, od podobnych złych uczynków uchronić!“

„To wszystko dobrze, kochany panie Reju, ale powiedzcie, dlaczegoście to powiedzieli? Dalibóg nie rozumiem was!“

„Otóż dlatego, żeby wami dzisiaj w naszym specjalnym wypadku zemsta nie powodowała. Dingaana, gdy się dostanie w ręce nasze, ukarać musimy, bo zbrodnie jego wymagają sprawiedliwości, ale niech nas Pan Bóg broni, byśmy mieli to czynić z zemsty. Myślę teraz“ dodał w końcu Rej z uśmiechem, „żeście mnie dokładnie zrozumieli.“

„Zrozumiałem i dziękuję wam za naukę. Ale wierzcie. trudno to będzie dla mnie karać człowieka tego bez doznania jakiegoś uczucia satysfakcyi. Wiecie, weźcie wy go lepiej na siebie, ja poprobuję Anglika złapać.“

„Dobrze, dobrze“, odrzekł Rej, „może to nawet lepiej dla nas będzie, bo wybyście może, przy waszem wzruszeniu nie podolali przebiegłemu naczelnikowi. Ja jestem spokojny, ufam więc, że mnie to żadnej nie uczyni trudności!“

Czas upływał szybko. Północ się zbliżała. Zwolna wygasło ognisko w obozie Kafrów. Noc była jasna, księżyc oświecał dolinę, w której za chwilę rozegrać się miała tragedia. Jan umówił się z Rejem co do planu napadu. Obaj przyjaciele spuszczały się ostrożnie po stromej dosyć skale ku obozowisku nieprzyjaciół, bacząc, by się nie ukazać w promieniach księżyca i by nie stanąć koniom pod wiatr. Mogłyby ich łatwo zwietrzyć i rzeniem ostrzedz śpiących Kafrów. Przede-wszystkiem starali się podejść do koni, rozwiązali je ostrożnie, dwa tylko dla siebie zatrzymując na wszelki wypadek. Tak Jan, jak i Rej doskonale umieli się obchodzić z temi zwierzętami, łatwo je oswajali z sobą i trudności im żadnych prawie nie czyniło osiąść zupełnie obcego, ognistego rumaka. Rej wybrał sobie konia Dingaana, Jan pysznego siwka Anglika.

Z całą przezornością podkradli się nasi młodzi ludzie do Kafrów. Oprócz wodza i sir Greena było jeszcze pięciu innych murzynów.

„Trzech biorę na siebie, dwom wy musicie dać radę“, szepnął Rej Janowi w ucho.

„Dobrze“, odpowiedział tenże.

„W skronie tylko silnie bardzo uderzyć trzeba raz i drugi, a wszystko będzie dobrze. Zabijać nie trzeba. Patrzcie tak! . .“

Po tych słowach przysunął się Rej cicho do najbliższego murzyna i z jednej i z drugiej strony pięścią straszliwy cios w skronie zadał. Stało się to tak cicho, że najbliższy sąsiad biedaka się nie przebudził. Kafer tylko drgnął, cicho jęknął i zdał się dalej spać. Jan uczynił to samo, Rej ubezwładnił w ten sam sposób jeszcze drugiego i trzeciego.

Już, już miał ten sam los spotkać Dingaana, gdy Anglik się przebudził, przeraźliwie krzyknął i zbudził tem samem naczelnika. Dingaan i jeszcze jeden Kafer zerwali się na równe nogi, szybko spostrzegli grożące niebezpieczeństwo i do koni pobiegli ile sił starczyło.

„Nie strzelajcie do nich“, krzyknął Rej do Jana, widząc, że tenże fuzyę do oka przykładą. „Pilnujcie sir Greena, ja sobie z nimi dam radę.“

Po tych słowach pobiegł także do koni, dosiadł pierwszego z brzegu i w pogoń się puścił szaloną za uciekającymi. Dingaan był człowiekiem zuchwałym, nie byłby więc może uciekał, gdyby był wiedział, że z dwoma tylko nieprzyjaciółmi ma do czynienia. Rej zaś jako człowiek doświadczony w tej mierze nie byłby zanim gonił, gdyby nie wziął w obrachunek jego nagłego przestachu i niewiedomości co do sił przeciwnika. Początkowo rwał się pod nim koń jak szalony, ale w prawną ręką go trzymał Rej, nogami silnie go ścisnął, tak że rumak w końcu poddać się musiał.

Rej gonił dość długo, ale Dingaan pysznego miał konia, mógł więc ująć bezpiecznie. Za to drugi Kafer pozostał w tyle. Myślał on z początku, że kilku ludzi za nim goni, ale spostrzegłszy że jeden tylko za

nim pędził, zwolnił biegu, owszem zwrócił się nagle i natarł na Reja. Tenże zatrzymał swego konia, zwrócił się frontem ku nieprzyjacielowi, a wzniosłszy fuzyę, przyłożył ją do oka, czekając sposobnej chwili, kiedy Kafer się odsłoni. Ten jednakże zdawał się znać skutki broni palnej, gdyż silnie targnął konia i począł się wykręcać w krzywych liniach, zbliżając się ustawicznie do Reja, ale nie dając mu nigdy sposobności do zmierzenia i przesłania kuli.

Rej słyszał wiele o Kafrach, wiedział, że to naród ogólnie tchórzliwy, szczególnie gdy ma stanąć do walki z Europejczykiem; znał nadto ich niezdarność jeżdżenia konno, czego miał nawet naoczny dowód na swoim Cymbo, dziwił się więc niemało nad niezwykłą biegłością napastnika, nad zręcznymi zwrotami i nad śmiałością niezwykłą.

Nagle zwróciwszy konia, zwiesił się Kafer na boku rumaka, a tak wisząc, wystrzelił z łuku koniowi pod szyję. Strzała zaświstała Rejowi ponad samem uchem. W tej też chwili Kafer siedział znowu na siodle i cwałował jak przedtem w krzywych liniach, napinając łuk i sposobiąc się do powtórzenia ataku. Rej nie mógł teraz dłużej czekać, gdyż łatwo być mogło, że druga strzała celu nie chybi. Dla tego właśnie w chwili, gdy Kafer powtórnie wisiał przy boku konia i łukiem pod szyję jego mierzył, dał ognia. I koń i jeździec padli na ziemię.

Rej domyślając się, że kula tylko przeszła kark konia, nie zrobiwszy krzywdy Kafrowi, że ten tylko leży na ziemi, ponieważ koń go przyciska, postanowił korzystać z tego i ująć go, zanim się wygramoli z pod zwierzęcia. Szybko tedy zeskoczył z konia i pobiegł na owo miejsce; jednakże w chwili kiedy dobiegał, Kafer stanął na nogach i wymierzył silny raz drzewcem łuku, którego Rej tylko szybkim uskokiem w bok uniknął. Widząc to Kafer, wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na Reja z nożem w rękę, chcąc go przebić, coby niezwłocznie nastąpiło, gdyby Rejs silnem uderzeniem kolbą swej fuzyi z ręki mu żelaza nie był wytracił. Równocześnie Kafer, nie tracąc przytomności, przy-

skoczył z tyłu do Reja i pchnął go tak silnie, że tenże się wywrócił. Natychmiast rzucił się na powalonego i jedną go ręką za gardło pochwycił, drugą szukał noża. Rej zachował spokój swój i zimną krew. U boku mu wisiał długi jatagan myśliwski. Upatrzawszy sobie sposobną chwilę zerwał się, wyciągnął swój nóż i natarł na Kafra. Murzyn także już był w posiadaniu noża i także się zamierzył do strasznego ciosu, gdy jatagan Reja w piersi mu utkwiał. Jeszcze chciał Kafer zamierzone wykonać pchnięcie, jeszcze się silił na utrzymanie się na nogach, lecz napróżno! Krew strumieniem hłusła, oko mgłą zaszło, ręka opadła, a całe ciało, niby spruchniała kłoda drzewa, runęło z głuchym szelestem na ziemię.

Rej był z natury dobrym człowiekiem, nie chciał napróżno ludzi zabijać. Schowawszy jatagan do pochwy ukląkł obok powalonego Kafra i starał się zatrzymać krew, płynącą obficie z rany. Jednakże napróżno, gdyż niedługo się przekonał, że ostrze przeszło płuca i śmierć szybkimi się zbliża kroki. Kafer zaś, który całą przytomność umysłu zachował, ze zgrozą przypatrywał się zabiegom Reja, sądząc zapewne, że to są przedwstępne manipulacje do zadania powtórnego ciosu, którego się obawiał.

Jednakże zdziwienie jego było bez granic, gdy się przekonał, że biały przeciwnik, zamiast go dobijać, owszem chce mu przysługę wyświadczyć. Aby się dostatecznie upewnić, czy Rej nie ma jakich złych zamiarów, wskazał Kafer ręką na nóż wiszący u pasa a potem na swe serce. Rej domyśliwszy się, co ten gest ma oznaczać, wstrząsnął głową na znak przeczenia i dalej starał się nieść pomoc nieszczęśliwemu. Chociaż to był dziki człowiek, ludzkość ta wzruszyła go do tego stopnia, że zebrawszy wszystkie swe siły, zdjął z karku kołnierz soboli, strojny w pazury i kły dzikich zwierząt, najcenniejszą swą ozdobę i podał go Rejowi, prosząc znakami, aby go sobie założył na szyję. Ledwie jednakże mógł Rej spełnić ostatnie jego na tym świecie życzenie, śmierć przecięła nić jego żywota.

Skoro tylko spostrzegł, że Kafer żyć przestał, zamknął mu oczy i chwilę niemo się wpatrywał w trupa, rozmyślając, że jednemu tylko pchnięciu noża zawdzięcza, iż zamiast niego Kafer leży rozciągnięty na ziemi. Zapewne Kafer nie spodziewał się przed chwilą takiego obrotu rzeczy, w przeciwnym bowiem razie, nie byłby się tak lekkomyślnie narażał na śmierć. Rej zapomniał teraz nad zwłokami przeciwnika, że ten jemu właśnie podobny chciał los zgotować, a wtedy Kafer inaczejby się pewnie obszedł z rannym.

Nagle wystrzał karabinowy zbudził go ze zadumania. Podniósłszy głowę, zobaczył, że kilku Kafrów cwałem gnało ku niemu. Schwycił tedy szybko swą strzelbę leżącą na ziemi, i nie namyślając się długo skąd się ci dzicy tutaj znaleźli, dosiadł swego konia i w jak największym pędzie pognął w bok, uciekając przed tak oczywiście niebezpieczeństwem. Kafrzy jednakże nie mieli wcale zamiaru gonić za nim, zresztą konie ich nie sprostalyby wiatronogiemu rumakowi Reja. Uciekali oni w nieładzie przed nieprzyjacielem, którego nasz młodzieniec nie widział. Rej skrzył w prawo i wkrótce poznał, że go nikt nie goni. Równocześnie spostrzegł w blasku księżyca kilka boerów, między nimi swego Cymbę i Jana. Natychmiast powcwałował do nich.

Pretorius stary wyciągnął doń rękę, aby go powitać. Przy tej sposobności wszystkich oczy zwróciły się z podziwieniem na niego, a mianowicie na kołnierz soboli, który jeszcze miał na szyi.

„A toście się gracko spisali“, krzyknął do niego Jan. „W trofea nawet ustroiliście się!“

„Panie Rej!“ zawołał na to Pretorius, ściskając mu rękę, „serce mi skoczyło z radości gdym ujrzał, że Kafer zwałił się na ziemię. Musicie bowiem wiedzieć, że z daleka przypatrywałem się waszej walce. Widziałem, że Kafer skoczył na ciebie jak tygrys i obawiałem się, że cię zastanie nieprzygotowanym. No, chwała Oogu, że wyszedłeś cało z tego niebezpieczeństwa. Bbawiam się jednakże teraz, że Dingaan większą siłę

zbierze i zechce tak na nas uderzyć. Musimy mieć się na baczności.“

„Tak“, odpowiedział Rej, „ale powiedzcie, zkądście się tutaj tak nagle znaleźli?“

Pretorius ręką ukazał na Cymbę i rzekł: „Twój służący nam opowiedział zdarzenie wasze z Anglikiem, no a mnie jakieś złe przeczucie tknęło. więc kazałem nawrócić i tak was wyszukałem. Już mi powiadał Jan, że sam Dingaan był w obozie. Podziwiam waszą zręczność, że się wam udało podejść tego chytrego lisa, Kafrów zaś tych, których przed chwilą widziałeś i którzy takiego strachu ci napędzili, spotkaliśmy przy Janie, a raczej Jana przy nich. Ale niechże on sam ci opowie co mu się zdarzyło.“

Jan zabrał głos: „Gdyście pognali za uciekającym naczelnikiem związałem sir Greena, sam zaś nierozsądnie otuliłem się w koc ciepły i do snu się ułożyłem. Przebudził mnie nagle ból dziwny na rękach i nogach. Otworzyłem oczy i, o zgrozo, ujrzałem się związanym, otoczonym gromadką Kafrów, a sir Green siedział z miną tryumfatora nademną i szydził ze mnie ile tylko się zmieściło. Ja się ze złości wściekałem, naturalnie ze złości na siebie samego, że tak samowolnie wydałem się w ręce nieprzyjaciół. Gdybym był czuwał nie byłoby się może to zdarzyło. Zwątpiłem już o ratunku, bo choćbyście wy wrócili, toć przecież sami nie dalibyście rady tylu ludziom. Obawiałem się nawet, że i wy wpaść możecie w ich ręce. W tem pomoc niespodziewana nadeszła. Ukazał się Pretorius z tymi ot panami. Straszny popłoch powstał między Kafram, ledwie koni zdołali dosiąść by uciekać co sił starczyło. Mnie już zabrać nie mogli naturalnie, nawet myśleć o tem nie mieli czasu. Tak to ocalenie moje zawdzięczam Cymbie, panie Rej,“

Po tych słowach uścisnęli sobie serdecznie dłonie obaj młodzi ludzie. Cymbo zaś dumny z tego co uczynił wystąpił i rzekł, przechwalając się:

„O, Cymbo wiedział, że Kafrzy przyjdą, że przyjdzie okrutny Dingaan, to też kazał zaraz na pomoc lecieć. Oho, gdyby nie Cymbo, toby Dingaan zjadł pana.“

Pocziwy Kafer pocieszne przy tych słowach stroił miny, jak to miał na zwyczaj, gdy się chwalił, lub gdy coś poważnego chciał powiedzieć.

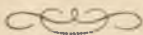
Stary Pretorius tymczasem odezwał się: „Przedewszystkiem musimy się zabezpieczyć przeciw możliwemu napadowi Dingaana. Jestem prawie pewien, że wróci z większą siłą i natrze na nas. Ponieważ zaś do domu tak rychło nie wrócimy, a zresztą musimy sobie odpocząć po tylu trudach, radzę, obrać na obóz miejsce obronne i tam nocować.“

„Słusznie radzicie“, pochwalił Rej, „ja zaś myślę udać się na zwiady, czy nam gdzie bliskie jakie niebezpieczeństwo nie grozi.“

„Zostawcie to mnie staremu“, przerwał mu Pretorius z uśmiechem. „Najprzód już dla tego, że jesteście więcej zmęczeni odemnie, a więc więcej spoczynku potrzebujecie, a potem, że znam jakoś lepiej okolice od was, łatwiej mi więc będzie się zorientować.“

„Niechże więc i tak będzie“, rzekł po krótkim namysle Rej.

Wszechstronnie pochwalono plan powzięty, poczem zabrano się do rozłożenia obozu. Opodal znaleźli dolinę piękną, przerzniętą małym, bystrym strumykiem. Naokoło porobiono zaskieki i wały na kilka stóp wysokie i rozstawiono strażę, potem wszyscy udali się na spoczynek, z wyjątkiem Pretoriusa, który z dwoma pistoletami za pasem puścił się śladem za Kaframi.



III.

Dingaana uciekał co koń wyskoczy przed Rejem. Dopiero, gdy za sobą nie słyszał tententu konia stanął, Zsiadł z rumaka, by choć chwilę wypocząć. Tutaj go znaleźli Kafrzy, którzy uciekali przed Pretoriusem i jego boerami. Gdy spostrzegli swego naczelnika, zeszli z koni, na twarz przed nim padli i zaczęli mu opowiadać o swej przygodzie. Opowiedzieli mu nadto, że widzieli po drodze trupa wielkiego Maswinty, którego biali strzelec zabił.

To wzruszyło Dingaana. Oko krwią mu zaszło z wściekłości, porwał się na równe nogi.

„Kimże ja jestem, ja Dingaan“, ryczał, „że biali wojownicy mnie prześladują? Czyliż ja nie mam siły zdruzgotać ich, w proch ich zetrzeć? Dosyć już, dosyć kraju nam zabrali biali! Czy Dingaan nie naczelnik? Idźcie, idźcie coprędzej, zbierzcie kilkuset ludzi i tu mi ich przywieźcie. Wiecie“, mówił już spokojniej, „w dolinie Hamba, niedaleko tu ztąd, znajduje się Zomi, mój sługa. Powiedźcie mu, żeby nad ranem stanął tutaj z dwustu wojownikami. Niech tak będzie jak mówiłem, bo inaczej zetnę mu łeb, jak psu wścieklemu!“

Po tych słowach rzucił się Dingaan na miękki mech i wkrótce zasnął.

Nazajutrz z pierwszym brzaskiem słonecznym nadciągnął Zomi z żadaną siłą.

Dingaana przykazał pod najsurowszą karą milczenie, sam stanął na czele oddziału i udał się z nim na południe, w stronę zagrody Retiefa.

Wiem, gdzie kraale ich stoja, myślał. Wiem także, że oprócz kobiet, dzieci i kilku ludzi nikogo więcej tam nie ma, otóż zniszczę, z ziemią zrównam ich

domy najpierw, a potem ich samych wytnę. Krwi, krwi chcę, krwi się napiję. . .

Po kilkugodzinnym pochodzie stanęli Kafrzy nad brzegiem lasu, ograniczającego domostwo Retiefa. Dingaana wyszedł, z której strony było najlepiej napad urządzić. Sam szedł na czele, a wojownicy jego za nim. Wszystko się tak cicho poruszało, że nikt wiedzieć nie mógł o ich pochodzie. Przez cały czas ani jedno słówko nie wyszło z ich ust, ani nawet najdrobniejsza gałązka nie chrupnęła pod ich stopami. Poruszenia ich były tak zgodne, jakby myśli wodza przenikali. Tak posuwając się coraz dalej, stanęli niepostrzeżenie pod samym domem.

W izbie zaś, w domu krzątała się już Mietje. Widząc, że matka Jana nie śpi, siadła przy jej łóżku, wpatrzyła się w nią i zapłakała.

„Cóż ci jest, moje dziecko?“ zapytała ją matka.

„Nie wiem, nie wiem sama, ale dziwny mnie niepokój ogarnia. Trzy dni już prawie minęły, jak nasi wyjechali na łowy, a do dziś dnia ich nie ma. Co się dzieje z Janem?“

Biedaczka wzdychała, miotana obawą o niego, bo go kochała z całego serca. Był on jej narzeczonym i za kilka niedziel mieli się pobrać. Ach, ci Kafrzy zabili nam ojca, myślała, żeby tylko Jan w ich ręce powtórnie nie wpadł.

Stara matka nie miała dla dziewczęcia innego pocieszenia, jak chyba polecić się Panu, który kieruje losami ludzkości, i który nikogo nie opuszcza, kto mu swe losy powierza.

Biedne kobiety rozmawiały z sobą troszcząc się o innych, a nie przeczuwały wcale, że i im grozi okropne niebezpieczeństwo. W tem zadrżały . . . na dworze rozległ się okrzyk — okrzyk tak straszliwy, że kto go raz w życiu słyszał, już go nigdy zapomnieć nie może. Był to okrzyk wojenny Kafrów, napadających na bezbronny prawie dom.

Wszystko zerwało się nagle na równe nogi. Kilku pozostałych boerów rzuciło się w stronę z kąd okrzyk słyszano. Tam uderzyło sześćdziesięciu Kafrów. Równo-

czesnie napadł Dingaan z drugiej strony a ponieważ nikt tem przystępu nie bronił, udało mu się przejść palisady i na dziedziniec się wedrzeć.

Naczelnik biegł prosto do domu, by tam wymordować wszystkich, by się okrutnie i krwawo zemścić. Wpadł do izby, w której siedziały Mietje i matka Jana. Nagle zatrzymał się na progu i oczy wlepiwszy w dziewczę, zakrzyknął z przestachem i niedowierzaniem: „Unkosi!“ Chwilę tak stał nieporuszany, potem przystąpił do Mietje, wziął w rękę naszyjnik jej, który zawsze nosiła, a o którym mówił Jan do Reja i zapytał przytłumionym głosem:

„Powiedz natychmiast, zkąd to masz? Gdzie Panda?“ Dziewczę milczało, przestraszone chciało uciekać, ale Dingaan ujął je silnie za rękę, potem uniósł w górę i do drzwi się z nią posunął. „Ze mną pójdziesz, tys jest córką brata mojego Pandy, umrzesz . . .“

Nie dokończył zdania, bo na dworze nowy okrzyk się rozległ. Jak piórko lekkie wziął Mietje na ręce i wybiegł z nią na dziedziniec. Nowy i niespodziewany widok przedstawił się tutaj zdziwionemu naczelnikowi.

Boerzy, których wcale się nie spodziewał, przybyli z pomocą. Okrzyk ich tryumfalny oznajmił mu, że im się udało przełamać szyki jego wojowników. Nastąpiła straszliwa scena zamieszania i mordu, a z okrzykami tryumfu i zwycięstwa mieszały się jęki rannych i chrapanie konających. Nad wszystkimi szalał Jan Retief. Widok napadu Kafrów na jego zagrodę do szaleństwa go doprowadził. Głos jego był tak straszny, że przegłuszył nawet wrzawę walki. W rękę miał sztuciec swój, trzymał go za lufę, a kolbą kładł czarnych swych przeciwników trupem. Wtem spostrzegł Dingaan z Mietje na rękę. Krzyknął przeraźliwie i w kilku rusach znalazł się przy nieprzyjacielu.

W ostatniej już chwili zagroził mu drogę jakiś olbrzymi Kafer, z nożem się nań rzucając. Jan odskoczył w sam raz, tak że murzyn go lekko w lewe ramię ranił. Ale cios był tak okropnie, tak silnie wymierzony, że napastnik porwany impetem jak długi na ziemię runął. Retief natychmiast skorzystał z tego,

ukłął mu na plecach i tak silnie za gardło go pochwycił, że Kafer ruszyć się nie mógł. W tem usłyszał za sobą szelest. Szybko się odwrócił, aby zobaczyć coby to było. Temu to poruszeniu życie swoje zawdzięczał. Dingaana stał nad nim i jego własną fuzją, którą był porzucił przed chwilą, do straszliwego ciosu się zamierzył. Byłby niechybnie zdruzgotał głowę Jana, ale gdy tenże się odsunął, kolba z całą siłą uderzyła w czaszkę leżącego pod Retiefem Kafra. Murzyn ani nie jęknął, drgnął kilka razy i zeszywniał.

Jan chciał się podnieść natychmiast, ale zapóźno. Dingaana leżał na nim i za prawą go rękę ujął. Sam trzymał nóż w drugiej dłoni i już, już miał przeszyć nim serce młodego człowieka. Przestrasz podwoił siły jego. Lewą swą ręką pochwycił jego dłoń tak silnie, że nóż z niej wyprysł. Potem ujął tak zręcznie i tak szybko jego ramię, tak je wysoko uniósł, że Dingaana musiał puścić drugą jego rękę, jeśli nie chciał złamać lub przynajmniej wykręcić swej własnej. Wtenczas Retief zerwał się z szybkością błyskawicy na równe nogi, przytem pchnął Dingaana, że tenże padł jak długi na ziemi. W następsem oka mgnięciu leżał Retief na swym przeciwniku, tak samo jak ten przed chwilą na nim.

Kolanem jednym przycisnął mu piersi, drugim jedno ramię, a rękoma ścisnął go za gardło. Dingaana szukał drugą wolną ręką swego noża, ale na szczęście na próżno. Rozpoczęła się teraz okropna walka dwóch siłaczy. Naczelnik kafeński siłą się cieszył niepospolitą, zdało się, że stalowe ma ścięgna i muszkuły. Całej siły użył, by zepchnąć z siebie nieprzyjaciela, ale Jan klęczał na nim jak głaz nieporuszony, coraz silniej gardło mu ścisnął i byłby go pewnie zadusił, gdyby go ktoś z tyłu w głowę nie uderzył. Padł bez przytomności, a Dingaana wydobył się z pod niego.

Widział, że bić się nie może, że innego ratunku nad ucieczkę nie ma. On sam i ten, który powalił Jana, ocaleli. Nie namyślając się długo, pobiegł Dingaana tam, gdzie stały konie. Na jego klaczy sie-

dział jakiś Boer. Żelazna dłoń naczelnika podniosła go z siodła i zanim biedak się spostrzegł, leżał na ziemi. Dingaana wskoczył na koń, zgarnął cugle i poleciał jak strzała.

Koń był doskonały, nieocenionej wartości. Dingaana wiedział o tem, miał więc nadzieję, że mu się uda uciec przed pogonią. Cała myśl jego zajęta była pośpiechem. Drogę znał, bo nieraz tędy przejeżdżał, wiedział, że w bliskości znajdują się lasy. Byle tam się dostał, był uratowany. Sunął więc jak strzała. Leciał tak, jak długo nie wiedział.

Wiedział tylko, że zanim dojedzie do lasu, musi przejechać dwa grzęzkie strumienie, które teraz po deszczach wezbrały. Znał on wprawdzie kilka brodów, ale gdzież mu tam ich było szukać w takim pośpiechu. Za chwil kilka poczęła klacz zapadać w grzązką ziemię, byli w sąsiedztwie pierwszego strumienia. Obejrzał się i ujrzał hen w oddali kilka czarnych punkcików. Zrozumiał, że to pogoń. Poklepał konia, a zwierzę rzuciło się naprzód, wprost, bez drogi.

Rzeczka płynęła w torfiastym gruncie, czarna i złowieszcza. Klacz, wzdrygając się, skoczyła w wodę, muł jej sięgał po kolana, chrapała dziko. . . Wybrnęła przecie, na stałym ładzie zatrzymała się chwilę, zhasana, spieniona, drżąc z natężenia. Dingaana tracił ją niecierpliwie, klacz zastękała jak człowiek strapiony i posłuszna szła klusem, dobywając reszty sił. O milę za rzeką potknęła się pierwszy raz i jakby zawstydzona, podwoiła kroku. Chód jej był gorączkowy, nierówny. Dingaana czuł, że dygotała jak w febrze. Na nic nie zważał jednakże, w oddali czerniał las. Byle tam się dostać. Szarpnął cugle.

Pędzili już bez drogi na ten widniejący cień. Kafer myślał o swym sromie i zgrzytał zębami, perły potu na skronie mu występowały, piersi gniew rozsadał. Żywcem przecież nie chciał wpaść w ręce nieprzyjaciół. Pochylił się więc do karku stworzenia i podniecał je nieprzytomny prawie gniewem i przestraczem.

Drugi strumień zaczerniał. Klacz zawahała się chwilkę i skoczyła w wodę. Dzielne zwierzę! Sieć żył

wybiła się na skórę, z boków dymiła para; na brzeg wydobyla się z widocznym mozolem i zarżała. Zdała się prosić pana okrutnego o litość. Dingaana jednakże na to nie zważał. Bór był coraz bliżej, a tam jego zbawienie. Gdy tam dojedzie, będzie ocalony, będzie mógł się zemścić. Długą chwilę jeszcze pędzili. Klacz wreszcie się potknęła i ciężko upadła na kolana. Zerwał ją, uderzył silnie ręką. Porwawszy się, rzuciła na oślep, płatała nogami, biegła jeszcze kilka minut i znowu upadła, jęcząc ciężko. Podniósł ją gwałtownie, chciała iść, zachwiała się, spuściła głowę, daremnie szukała równowagi, siły ją opuściły, zwała się na ziemię, przygniatając jeźdźca.

Dingaana zerwał się i kopnął zwierzę bezlitośnie nogą. A biedne stworzenie spojrzało nań jakby z wyrzutem za takie podziękowanie, potem oczy jego bielmem się zaciągnęły, z nozdrzy krew buchła, zmęczone nogi drgały w kurczach przedśmiertnych.

Dingaana doszedł do lasu. Był ocalony.

*

*

*

Gdy Jan Retief się ocknął z omdlenia, w które popadł skutkiem gwałtownego uderzenia w głowę, znalazł się w izbie na łóżku. Naokół niego stali Boerzy. Mietje czuwała przy nim.

Rej siedział na krześle i trzymał w ręku zapisany jakiś papier. Pretorius rozmawiał cicho z Boerami. Dość długo wpatrywał się Rej w pismo. Snać nie mógł nic zrozumieć, bo głową kręcił. Wreszcie się uśmiechnął, raz jeszcze przejrzał list i podał go Pretoriusowi.

Stary gbur zaczął czytać, ale także głową pokręcił.

„Ja tego piśmidła nie rozumiem“, rzekł, oddając Rejowi papier. „Próżno sobie nad tem głowę łamać będziemy.“

„Proszę, czytajcie raz jeszcze“, wtrącił Rej, śmiejąc się i ręce zacierając, „ale przy czytaniu opuszczajcie zawsze jeden wierszyk, a gdy skończycie zacznijcie od drugiej linijki i tak dalej do końca.“

Pretorius czytał. Po chwilce zadrżał i pobladł.

„A to złodzieje . . . Anglia obiecuje Zulusom pomoc. . . Dwieście dobrze zbrojnych żołnierzy . . kilka wozów broni i amunicji. . . Zle z nami. . .“

„Nie bójcie się“, pocieszył go Rej. „Bogu dziękować, że wiemy o wszystkim. Wszak tam czas podany i droga, którądy posiłki iść mają.“

„Cicho, cicho, bo głowa mi pęknie. . . Naradzić się musimy, co nam czynić wypada. Gdzieście ten ważny papier znaleźli?“

Młody człowiek wskazał na dalekowidz, leżący mu na kolanach i odezwał się:

„Chciałem szkła wyczyścić i przy rozbieraniu instrumentu znalazłem wewnątrz ten tak ważny list. Ponieważ zaś szkło należy do Anglika, któregośmy poznali, możemy wiele dla nas korzystnych wniosków wyciągnąć z tego.“

Pretorius usiadł na krzesło, bo był zmieszany i przerażony treścią listu. Po chwili odezwał się:

„Mówcie, mówcie, na Boga, widzicie, że myśli zebrać nie jestem zdolny, tak mnie wyczytana wiadomość poruszyła. Wdzięczni wam będziemy niezmiennie. Wyście nas uratowali od zupełnej zagłady. . .“

„Zobaczcie więc nasamprzód do kogo list ten adresowany“, zaczął Rej.

„Hm, wyraźnie stoi: Sir John Elson. Ale, przecież nasz Anglik się nazywa Silbert Green, nie do niego więc list ten pisany.“

„Tak, macie słuszość, nie do niego list ten pisany, ale na jego ręce, ma on go oddać z pewnością komendantowi najbliższej fortecy. Z pieczęci można przypuszczać, że list wyszedł z kancelaryi gubernatora samego. Co zaś do nazwiska, to tacy ludzie jak Elson, albo jak chcecie Green, zwykle więcej ich mają do dyspozycji . . . Green więc będzie nazwiskiem przybranem. . .“

„Słusznie“, pochwalił Pretorius, „mówcie dalej!“

„Czy was nie zastanowiła wzmianka o czapce Elsona?“

„Owszem, ale nie rozumiem tego.“

„To wam wytłómaczę. Otóż Sir Elson zabrał ze sobą dwa egzemplarze tego samego listu. Jeden zna-

leżliśmy w dalekowiedzu, drugi będzie z pewnością zaszyty w czapce tego jegomościa. Tak przynajmniej ja to rozumiem.“

„Spodziewajmy się, że dobrze, ale to rzecz podrzędnej wagi. W danym razie możemy się przekonać o tem, gdy Anglika nam się pochwycić uda. Ważniejszym daleko jest dla nas oznaczenie czasu i miejsca. . .“

„Dobrze mówicie, przystąpmy więc do tego. Podajcie mi list. Otóż jak najwyraźniej stoi napisane, że 23 maja komendant ma swe siły połączyć z wojskami Dingaana. Co zaś do miejsca jest to, zdaje mi się, jakiś przesmyk w górach Kwatlamba.“

„Tak jest, znam tę miejscowość doskonale. Nieraz tam polowałem.“

„Ile czasu potrzeba, by się tam dotąd dostać?“

„Mniej więcej dwa dni konno.“

„To dobrze, Bogu możemy podziękować, że wszystko po myśli nam idzie. Gdybyśmy list ten z jaki tydzień później dostali, próżnemi by były nasze zabiegi, ale tak spodziewać się możemy pomyślnego skutku wyprawy.“

„Dałby to Bóg!“ odpowiedział Pretorius, ściskając dłoń Reja. „Któżby to się mógł spodziewać, że wy się nam tak przysłużycie. Wdzięczny wam będę. . .“

„Przeście, zostawcie dzięki na później“, przerwał mu Rej z uśmiechem. „Ważniejsze na nas sprawy czekają. Dzisiaj mamy dzień czwarty maja, dziewiętnaście dni całych mamy do dyspozycji.“

„Czasu jest dosyć, należy tylko z niego dobrze umieć korzystać.“

„Tak, spodziewam się, że nasz poczciwy Jan wyzdrowieje i będzie mógł wziąć współudział w naszej wyprawie. Teraz najważniejszą jest rzeczą, żeby pewnych wysłać gońców, którzyby jak największą siłę sprowadzili.“

„Mamy tutaj kilku poczciwych Boerów, którzy chętnie zlecenie to przyjmą. Wspólna to przecież sprawa i wszystkim nam nieszczęście grozi ogromne. Natychmiast uczynię to, czego żądacie. Za jakie dziesięć dni

zbierze się nas do trzech tysięcy, dobrze uzbrojonych. Potem należy ubiedz przejście wspomniane i zaskoczyć Anglików zdradliwych. . . .“

„Dobrzeby także było“, wtrącił przezornie Rej, „gdyby kto dziś zaraz w pogoń się puścił za Dingaanem i z całą ostrożnością śledził każdy krok jego. . . .“

„To biorę ja już na siebie“, szybko pochwycił Pretorius. „Stary jestem wprawdzie, ale właśnie dla tego najpewniej będzie, gdy niebezpiecznego tego zadania sam się podejmę.“

„W takim razie wszystko w porządku. Ja pozostanę tutaj w domu z kilku ludźmi, by czuwać nad naszym chorym. Wy zaś idźcie natychmiast, bo chwilki czasu stracić nie możemy.“

Pretorius powstał, raz jeszcze w serdecznych słowach podziękował młodemu człowiekowi za usługę i dobrą radę, wziął z sobą Boerów, którzy w izbie stali i wywiódł ich z sobą na dziedziniec. Tam im wyłuszczył ważną sprawę, wysłał kilku z nich do sąsiadów, by ich zwołać, sam zaś wziął strzelbę i nóż, wsiadł na konia i puścił się w ślad za Dingaanem.

Rej tymczasem zbliżył się do Jana. Młody Retief był ciekawy posłyszeć historię napadu Dingaana na jego dom.

Rej jak umiał opowiedział mu całe zdarzenie, resztę uzupełniła Mietje. Jan się zastanowił, gdy dziewczyna mu wspomniała, że Dingaan widząc jej naszyjnik zapytał się, gdzieby był brat jego Panda. Nie wiedział, co o tem sądzić. Młody jego przyjaciel także nic doradzić nie umiał.

W kilku słowach opowiedział także Rej Janowi treść listu znalezionej i zawiadomił go o planach swoich. Retief wszystko pochwalił. Sam rwał się niecierpliwie na łóżku, tak go paliła żądza zemsty nad Dingaanem.

„Żywy on nie ujdzie rąk moich“, szeptał przez zacisnięte zęby.

„Zemsta jest moja, mówi Pan!“ łagodził gniew jego Rej. „Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy!“

W niespełna tydzień dano znać do Retiefa, że wojsko się gromadzi na umówionem miejscu. Jan o tyle przyszedł do sił, że mógł wyruszyć. Kazał się sposobić do drogi i zleciwszy opiekę nad domem swoim kilku Boerom, wyruszył w drogę razem z Rejem.

Towarzyszył im nieodstępny Cymbo.

Jechali tak dzień cały. Następnego wieczoru znaleźli się już w bliskości gór. Po za nimi rozciągała się płaszczyna wielka.

Słońce już dawno za góry się skryło, noc szybko ziemię czarnym okrywała całunem. W chwili tej, gdy zwykle głosy ludzkie milkną, przemawia dzika natura. Powoli, stopniowo odzywały się tony pojedyncze tej wielkiej, poważnej pieśni, aż wreszcie stopy zagrały całą piersią. I jakież tam głosy rozlegały się w mroku nocnym! Oto pociągnął wiatr nocny i zaszumiały wszystkie krzewy. Długo, przeciągle, żałośnie szedł szum ten zmieszany, aż wreszcie skończył gdzieś w dali. To znów puszczyk zajęczał, błotne ptactwo powracając z żeru, zatrzepotało skrzydłami w powietrzu. Lis zaszczekał, a w oddali gdzieś w lasku rozległo się ponure wycie wilków, wietrzących żer na stepie.

A z góry miliony gwiazd mrugały z bezbrzeżnego niebios przestworu, na świat uśpiony spoglądając.

Rej i Jan usiedli sobie w trawie i poczęli rozprawać o piękności natury. Każdy z nich zwiedził kawał świata, umiał więc opowiedzieć coś zajmującego. „Ot, dobry ten Bóg nasz“, szepnął Jan, „hojną nam ręką dary sypie. Patrzcie, jak tutaj cudnie. Dusza musi się korzyć przed Stwórcą nieskończenie wielkim, musi jego wielkość i potęgę uznać.“

„Nie zawsze tak pięknie, tak uroczo na świecie“, wtrącił Rej. „Są chwile, w których natura człowieka do głębi porusza, chwile okropne. Ja sam niejedną już przeżyłem.“

„Opowiedzcie mi, proszę, co to było!“

„Pewnie nie wiecie jeszcze, co to jest trzęsienie ziemi. Powiadam wam, niczem burze, niczem grzmoty i pioruny w porównaniu do nagłego chwiania się ziemi pod nogami. Mija to szybko, nagle, przelotnie, a

jednak człowiek truchleje i długi czas jeszcze drży i uważa na każde poruszenie, na każdy szelest. Wszystko budzi uwagę i obawę, gdyż człowiek wtedy nie dowierza gruntowi, na którym stoi, lada chwila lęka się zapadnięcia w otchłanie. Wierzcie mi, straszny jest wybuch wulkanu, ale człowiek może przed wypływającą lawą uciec, straszna jest burza z grzmotami, ale można przed nią się zabezpieczyć; trzęsienie zaś ziemi nie jest niebezpieczeństwem tego rodzaju, że uchronić przed niem się można!“

„Wierzę, że to okropnem być musi, ale czyście kiedy znajdowali się w tak krytycznem położeniu?“

„Owszem. Było to w roku 1812. Pamiętam jak dzisiaj, dzień wschodził przepyszny, ale, niestety, niewiele miało ujrzeć zachodzące słońce. W powietrzu była cisza, a niebo zupełnie czyste. Był to właśnie Wielki Czwartek, dzień 26 marca, dobrze do dziś dnia pamiętam. Ludzie tłumnie dążyli do przybytków Pańskich. Nic nie zwiastowało modlącym się, jaki ich dzisiaj los spotka. Wybiła godzina czwarta po południu. Ja przechadzałem się w Caracas w Venezueli przed kościołem Alla Gratia, wysokim na 140 do 150 stóp. Nagle uderzyły dzwony, ale nie ruszone ręką ludzką, tylko — Boską. Było to na pogrzeb tysięcy ludu. Ziemia zadrżała. Uczułem, że pod mojami nogami grunt się chwieje, spojrzałem na kościół i spostrzegłem, że wieże to w jedną to drugą stronę się chyliły. Nie straciłem przytomności o tyle, że zrozumiałem okropność całego położenia i konieczność jak najprędszej ucieczki za miasto. Trzęsienie trwało do dwunastu minut. Ludność cała przeraziła się do nieopisania, ziemia zdawała się gotować i kipieć.

Już cieszone się, że niebezpieczeństwo minęło, gdy nagle dał się słyszeć ryk podziemny, ale o wiele, wiele silniejszy, aniżeli ryk stu piorunów. Bezpośrednio po tym huku nastąpiło uderzenie pionowe w górę i równocześnie drugie, poziome falowe. Owe dwa krzyżujące się uderzenia nastąpiły w dwóch kierunkach z północy na południe i ze wschodu na zachód. Tym dwom uderzeniom nic oprzeć się nie zdołało; nie wyszło i ćwierć minuty a całe prawie miasto zawało

się, grzebiąc dziesięć tysięcy ludzi. Szczęście dla mnie, padłem bez przytomności. Gdy się obudziłem, ujrzałem nad sobą sklepienie niebieskie błyszczące tysiącami gwiazd, księżyc w pełni czarownym swym blaskiem srebrzystym oświecał okolicę, i twarzą spokojną spoglądał na ziemię. . .

Powstać nie mogłem, tak się uczułem zmęczony i przerażony, myśli własnych dokładnie zebrać nie zdołałem. Do rana tak przeleżałem, bo i gdzież było szukać przytułku w mieście zawałonem gruzami?

Rano wszedłem do miasta. Ale jaki widok oczom się moim przedstawił! Zniknęły pyszne gmachy, świątynie i wieże; runęły domy strojne kwiecistymi ogrodami i napełnione wesołym ludem; runęły kościoły mieszczące w sobie pobożnych u stóp ołtarzy modlących się chrześcian! Gruzy tylko, same gruzy, jak mogiły olbrzymiego narodu pokazały białawe szczyty, w około ziemia trupami zasłana i zbryzgana krwią ludzką. Przeraźliwe jęki, westchnienia, płacz i rozpaczliwe narzekania słyszałem, wznoszące się do nieba o litość, o zmiłowanie nad nędzą, nad mękami nieszczęśliwych ofiar. I wybladłe, strachem zdjęte postacie, jak cienie po grobach swojego szczęścia się błakały, szukając tych, co ze zdruzgotanemi kośćcami leżeli pod ciężarem kamieni i cegieł. Matki jęczały, wyciągając z pod gruzów i marmurów martwe swych dzieci ciała, ojcowie szukali synów, dzieci błędne płakały i tęskniły za rodzicami.

Widziałem ja, jak przyjaciele i nieprzyjaciele, krewni i obcy, znajomi i nieznajomi, wszyscy stali się w ogólnem nieszczęściu braćmi i jeden drugiemu pomógł rannych ratować, odgrzebywać zasypanych, chować trupów, krzepić łaknących.

Rannych złożono wzdłuż rzeki Guyara. Tutaj było jedyne miejsce, gdzie pozostałe drzewa cień jeszcze dawały. Jednakże wszystkiego brakło do ratunku: pościel, płótno na bandażę, narzędzia chirurgiczne, lekarstwa, zgola wszystko znajdowało się pod gruzami. W pierwszej chwili po nieszczęściu na wszystkim zbywało, nie było pokarmów, nawet wody w mieście

zabrakło, bo trzęsienia porujnowały po części studnie i rury wodociągów, a źródła ziemią zasypane nie dawały wody. . .“

„To okropne“, przerwał Retief Rejowi, „powiedźcie, co porobiono z ciałami tylu poległych, przecież niepodobnem było pogrzebać ich już z samych względów sanitarnych.“

„Słusznie twierdzicie. W krótkim czasie niepodobnem było wszystkich pochować, dla tego wyznaczono umyślnie ku temu wybranych komisarzy, którzy mieli postarać się o spalenie trupów.“

W środku więc pomiędzy gruzami i zwaliskami ustawiono stosy drzewa i przez kilka dni palono ciała umarłych. A lud dokoła jęczał i płakał. . . . Okropny to był widok. Procesye uroczyste między gruzami i śpiewy pogrzebowe słyhać było ze wszystkich stron. Kir żałobny całe okrył miasto. Niektórzy padali na kolana i głośno, publicznie się spowiadali. Wiele małżeństw zażądało błogosławieństwa kościoła, podczas gdy dotychczas żyło dotąd tylko w połączeniu cywilnem. Dzieci, do których nikt się nie przyznawał, odzyskały rodziców, ludzie, którzy dotychczas uchodzili za nieposzlakowanych, przyznawali się teraz do różnych krzywd i nieprawnych nabytków. Rodziny żyjące od dawnych czasów w gniewie i nienawiści, godziły się i ręce sobie podawały.

Jednakże i tu okazało się, że nie wszystkie dusze ulegają popędowi do dobrego. Zbrodniarze jedni się poprawiali, a drudzy stawali się tem zatwardziałszymi, gdy widzieli, że ich ręka Boska nie dotknęła. Wierżaj mi, Janie mój, nieszczęście jest jak nauka o dziełach Boga; rzadko kto poczuje z niej więcej skłonności do dobrego. Jednakże bez tego obejść się nie może, aby tak jedno jak drugie nie wywarło na człowieku silnego wrażenia.“

„Macie zupełną słuszość, mój panie Reju“, odpowiedział Jan, „nawet ludzi najgorszych wstrząsają takie ogromne wypadki, jak na przykład trzęsienia ziemi, o którym opowiadałeś przed chwilą.“

„Tak, wstrząsają“, rzekł Rej, „ale, niestety, przychodzi mi na myśl ustęp znanej pieśni:

Gdy miecz twój na nas podniesiony trzymasz, siłąć
 obiecujemy,
 A skoro go spuścisz, obietnicę wykonać nie chcemy.

Okropną zaiste jest złość ludzka, a dziwnem miłosierdzie Boże . . .“

Długo czas tak rozmawiali z sobą obaj przyjaciele serdeczni, Po chwili milczenia Rej rozmowę zagaił na nowo:

„Powiedźcie mi, panie Janie, co to właściwie za naród ci Buszmani, o których słyszałem tyle. Powinicie przecież znać doskonale stosunki ich.“

„I owszem, chętnie zadość uczynię życzeniu waszemu. Wiedzieć wam trzeba nasamprzód, że Buszmani narodem nie są w właściwym słowa tego znaczeniu. Znaćcie przecież Hotentotów, wiecie, że naród ten oddawna był swój stracił. Otóż niedobitki wielkiego tego niegdyś szczepu schroniły się w lasy i w nich pod nazwą Buszmanów starają się żyć niepodległe. Podpadli oni, niestety, największemu na całej kuli ziemskiej zniszczeniu. Dziwni to zaiste ludzie, ci Buszmani. Wzrostem mało co od zwierząt wyżsi, obyczajami częstokroć z nimi się równają. Dorosły Buszman nie jest wyższym od czternastoletniego chłopaka. Cera skóry trudna jest do rozeznania, gdyż pokryta jest pokładem brudu, popiołu i tłuszczu. Członki ich są chude i wątłe, wyraz twarzy złośliwy i podstępny.“

„Znam ja ich z powierzchowności, bo z nimi miałem do czynienia w czasie mojej podróży do was, panie Retief“, przerwał Jan. „Skończcie jednakże proszę wasze opowiadanie o nich, opowiem wam całą tę przygodę później. Ciekawi mnie w ogóle każdy naród, jego historia i obyczaje.“

„Jeśliście ich widzieli“, rozpoczął na nowo Jan, „toście także spostrzedz musieli, że kobiety są o wiele brzydsze od mężczyzn, prawdziwe strachowiska, wam powiadam. Ubiołem ich, jak to widzieliście, jest zazwyczaj skóra zwierzęca niewyprawiona, którą jak płaszcz zarzucają

na ramiona. Włosy na głowie mają w największym nieładzie wiszące rozrzucone w pojedynczych kołtunach. Buszmani są do tyła dzicy, że nawet imion nie mają, a mowa ich tak niedokładna, iż tylko składa się z pojedynczych głosów, jak u zwierząt. . . . Właściwą granicą kraju ich jest rzeka Oranżowa. Często się zdarza, że wycieczki urządzają aż w obręb kolonii europejskich. I my, Boerzy, nieraz musimy siłą ich odpierać od posiadłości naszych.

Kraj ich o wiele jest smutniejszy, aniżeli okolice Kapu-Karoo. Pustynna, bezpłodna ziemia ciągnie się dalekimi obszarami. Nic tam nie rośnie oprócz niskich krzaków i niektórych roślin cebulkowatych. Hodowanie bydła nie tylko znanem nie jest Buszumanowi, ale nawet niemożliwem, ponieważ ziemia nieurodzajna nie wydaje tyle roślin, by można utrzymać bydło. Ztąd to pochodzi, że Buszmani nędzę cierpią i głód, ztąd także wynika potrzeba niejako ich napadów na osady nasze lub sąsiednich szczepów.

Buszman jest za słaby do polowania na większe zwierzęta, skazany jest przeto na żywienie się mniejszemi. Poszukują oni mrówki, szarańczę, węże i jaszczurki. . . Całe dnie i tygodnie obywają się bez wody, ale za to żują soczyste rośliny. Ponieważ Buszman ustawicznie goni jak wilk za śladami antylop, których pełno w ich kraju, nie ma stałego siedliska, tylko gdzie zajdzie, tam nocuje, bądź to pod krzem, bądź to w jamie jakiej, lub własną ręką wygrzebaną kotlinie, albo też na dzewie pomiędzy gałęziami.“

„Dziwny to naród“, przerwał Rej, „politowania godni ludzie!“

„Słuchajcie, jeszcze nie wszystko. . . . Wzrok i słuch mają Buszmani nadzwyczaj bystry, ale zdaje się, że reszta zmysłów musi być przytępiona, ponieważ i najwstrętniejsze pokarmy obrzydzenia im nie sprawiają; również i zmiana powietrza żadnego na nich nie wywiera wpływu. Żyją nie wspólnie, tylko każda familia pojedynczo, a tylko gdy chodzi o polowanie na grubszego zwierza, albo o wyprawę zbójczą, łączą się w zna-

czniejsze oddziały. Po dokonaniem zaś czynie rozchodzą się każdy w swą stronę.

Jeść, pić i spać, to są zatrudnienia Buszmana i cel jego życia. Prócz tego wie on jeszcze o dwóch przyjemnościach życia, to jest o picciu gorzałki i o paleniu tytoniu. Jest bardzo żarłocznym, ale za to też i długo bez pokarmu wytrzymać może. Ten sam Buszman, który z pięciu towarzyszami potrafi zjeść w jednej godzinie całą owcę, w pół nocy całego dzikiego konia, może i trzy do czterech dni pościć.

Jednakże długa ta wstrzemięźliwość jest po części skutkiem lenistwa, gdyż Buszman woli głód przespać, aniżeli wyruszyć na utrudzające go polowanie. Ale gdy za to podniesie się z legowiska swego, natenczas rozwija całą swą energię i wszelkimi sposobami stara się dopiąć celu. Nie myślcie jednakże, panie Reju, o owej szlachetnej odwadze, gardzącej niebezpieczeństwem, przeciwnie, Buszman jest uosobieniem tchórzostwem. Silniejszy krzyk zdolny go śmiertelnie przerazić, a jeden ślepy wystrzał setki ludzi tych rozpędza.

Dla tego też strzały swe wypuszczają ze zasadzki, albo przebijają podstępnie z tyłu. Strzały zaś mają z trzciny lub kości, napuszczone zazwyczaj trucizną, jadem z węzów. Jeśli natrafiają na jadowitą żmiję, starają się pochwycić ją. Upatrzywszy stósowną chwilę, nadeptują ją nogą poniżej głowy, chwytają ją potem za łeb tak, że ich ukąsić nie może. Wtedy głowę żmiji odgryzają swemi zębami, całe ciało jej surowo pożerają, a łeb chowają do użytku.

Na rabunek wychodzą zazwyczaj w nocy. Przekonawszy się że pilnujący trzody śpi, przybliżają się w cichości, roztrzaskują mu głowę kamieniem i wprowadzają całe stado. Jeśli pogoń za nimi zdąży, a nie ma widoku, żeby jej ujść mogli, natenczas przeciwną bydłu ścięgną pod kolanami i uciekają.“

„Pozwólcie teraz, panie Retief, że wam opowiem zetknięcie się moje z tymi ludźmi.“

„Mówcież, bo mnie już naprawdę od gadania język ustaje w gębie.“

„Otóż na miesiąc przed mojem przybyciem do was, znajdowałem się z kilku towarzyszami w kraju buszmańskim. Znajdowałem się właśnie w szałasie moim, zbudowanym na małym wzgórku, gdy się do mnie dwóch Buszmanów zbliżyło. Prosilili mnie, o ile ich wyrozumieć mogłem o udzielenie im tabaki. Dałem im czego żądali. Z otrzymanym datkiem usiedli sobie ci ludzie pod najpierwszym krzakiem i zaczęli palić.

Całą godzinę prawie przypatrywałem im się pilnie i wiecie, doszedłem do przekonania, że Buszman w swoich poruszeniach więcej podobny do małpy, aniżeli do człowieka. Mianowicie starszy z dwóch ludzi, których miałem przed sobą, może pięćdziesiąt lat liczący, z włosiem zupełnie siwym, a z czołem, nosem i policzkami powłoką grubą kurzu i brudu powleczone, mając tylko białka ocz i koła przy oczach zmoczone ustawicznie łzami, czyste, zasługiwał słusznie na przydomek małpy. Podobieństwu temu więcej rzeczywistości nadawała wielka ruchliwość oczu i brwi, które za każdym poruszeniem ustawicznie w górę się podnosiły lub na dół spadały. Nie tylko zaś oczy z brwiami wykonywały ruchy przeróżne, ale i nos, kąty ust, ba nawet uszy w ustawicznej były czynności.

Zastanowiła mnie żarłoczność człowieka tego. Kazałem mu bowiem podać kawał mięsa. Porwał je natychmiast, przycisnął do siebie, a potem oczyma strzelając na wszystkie strony, jakby się obawiał, że mu je kto na powrót wydrze, zagrzebał je w popiół. Jeszcze się mięso dobrze nie rozgrzało, a już je wyjął, otarł z popiołu i zaczął odgryzać kawały, połykając je żarłocznie bez gryzienia prawie. Obdarłszy w ten sposób kość całą jak najczystiej, rozłkukt oba jej końce, wyssał tuk z niej a potem zaraz przystąpił do ukończenia swej fajki. Palił, zamykał oczy, jakby mu to, nieskończoną jakąś przyjemność sprawiało. Pociągnawszy tak kilka razy, fajkę swą podał towarzyszkowi, który również palił, o ile się zdawać mogło, z tą samą lubością. Podczas tej uczty patrzali na nas z wyrazem niopisanego ukontentowania.

Wiecie, serce mi się się ścisnęło, widząc takie zbydłecenie człowieka.

Po czterech dniach rozbiliśmy obóz nasz na innem miejscu. Długo nie trwało, gdy znowu Buszmani, tym razem sześciu, do nas zawitało. Były między nimi cztery kobiety. Ze zdumieniem nie małym poznałem między nimi znajomego mi już starca. — Wszyscy podnieśli ręce w górę i prosili o tabakę.

Gdyśmy zapas nasz pomiędzy nich rozdzielili, rozpoczęli naraz wszyscy bardzo głośną rozmowę, podczas której tytuń w fajki swe napychali. Mianowicie dwa dziewczęta odznaczały się ruchliwością języka. Uderzającym było to, że końcowe zgłoski wyciągały i wydłużały w nieskończoność, a gdy im tchu przybrało, natenczas przestały na chwilę, głęboko odetchnęły, powstając przy tem, i natychmiast mlaskanie swe, kłaskanie i piszczenie rozpoczęły.

Następnego dnia przekonałem się o ile Buszmani mogą być niebezpieczni.

Ledwie doszliśmy do miejsca, gdzieśmy namioty rozbić postanowili, gdy nam się smutna przedstawiła scena. Z jednym z towarzyszy moich, znacie go, Williamem Larsenem, wyprzedziłem o kilka kroków całe towarzystwo.

Nieco opodal ujrzelśmy nagle wóz płótnem okryty. Towarzysz mój stanął na chwilę, a potem poznawszy wóz i ludzi przy nim stojących, zawołał: „To są moi Hotentoci!“ Szybko tedy zbliżyliśmy się do wozu. Gdy nas jedna z kobiet spostrzegła, przybiegła co prędzej, padła na ziemię z wielkim krzykiem i objęła rękoma kolana pana swego. Także i dzieci przyszły z głośnem płaczem i krzykiem, i wszystko to naraz poczęło lamentować i wyrzekać, tak, że dość długo trwało, zanim mogliśmy się dowiedzieć, co się stało. William spytał się, gdzie są dwaj mężczyźni, którzy powinni się znajdować razem z niemi.

Zamiast odpowiedzieć, zapłakały kobiety na nowo. Najstarsza z nich ręką wskazała przed siebie. Gdyśmy tam wzrok swój zwrócili, ujrzelśmy dwunastoletniego chłopaka, kopiącego grób, a obok niego trupa jego

ojca. „Buszmani go zamordowali!“ krzyknął chłopiec ku nam, łzami się zalewając.

W końcu uspokoił się o tyle ludzie ci nieszczęściem dotknięci, że nam mogli zdać sprawę ze wszystkiego.

Otóż towarzyszyli oni swemu panu w jego wycieczce. Postępowali za nim przez pustynię bez obawy przed Buszmanami, którym dotąd nigdy jeszcze w drogę nie weszli. Trzeciego dnia przyłączyło się do nich kilku Buszmanów. Ludzie ci prosili naszych Hotentotów o mięso. Nie odmówili im tego, ponieważ zapas zwierzyny mieli dość znaczny. Buszmani dary otrzymane spokojnie spożyli w pobliżu wozów. Jednakże trzoda Hotentotów, składająca się z sześćdziesięciu wołów, zaostrzyła do tego stopnia apetyt Buszmanów, że powzięli zamiar napaści. Ponieważ zaś nie mieli dosyć odwagi, aby na całą gromadę Hotentotów natrzeć, postanowili pojedynczo wymordować wszystkich. Czujność obu mężczyzn nie pozwoliła im zaraz w pierwszej nocy wykonać zamiaru. Następnego dnia jednakże, gdy z dala od siebie zajęci pracą nie dość bacznie się okazali, otoczyli Buszmani jednego z nich, przypatrując się niby pilnie jego robocie. W dogodnej chwili, gdy się Hotentot pochylił, przebił go jeden z Buszmanów z tyłu oszczepem krótkim. . . . Obok nieszczęśliwego stała córka, ośmioletnie dziewczę. Spostrzegło ono, ale zapóźno, niestety, zdradziecki zamiar Buszmana. Krzyknęło przeraźliwie, ale już nie zdołało ocalić ojca. I to biedne dziewczę padło ofiarą. . . . Buszman przebił ją tą samą dzidą, co jej ojca.

Krzykiem tym przerażony towarzysz Hotentota powstał na równe nogi, spojrzał w tę stronę. a porwawszy siekierę, uderzył rozpaczliwie na całą gromadę Buszmanów. Zabójcy jednakże uciekli tchórzliwie, nie śmiejąc czoła stawić jednemu człowiekowi prawie że bezbronnemu.

Następny dzień przeszedł spokojnie, mimo ustawicznej obawy, że Buszmani we wielkiej liczbie odważą się na otwartą napad.

Dopiero drugiego dnia, kiedy droga wypadła przez gęste zarośla, wykonali Buszmani ukartowany swój zamiar. Świsnęło mnóstwo strzała. Kilkoro dzieci padło ofiarą tego zdradzieckiego napadu. Jednakże jeszcze przerażała zbójców obecność jednego męża. Hotentot chwycił za strzelbę, dał ognia w krzaki, a wszyscy zbrodniarze umknęli co rychlej. . . Niebezpieczeństwo jednakże nie minęło. Za kilka chwil znowu chmura strzała ich zasypała. O ile się zdawać mogło wymierzono je na bydło. Już kilka wołów padło, między innymi zwierzęta zaprzężone do wozów. Starano się je przeprządz. Udało się to wprawdzie, ale przy tej pracy ranili Buszmani lekko najstarszego chłopca i ojca. Mimo to podróży nie przzerwano. Do nocy było dziewięć osób rannych.

Nazajutrz oczekiwała ich najzaciętsza walka. Licznie jak zwykle ukazali się rabusie na wzgórzach i na kilka gromad rozdzieleni, nadciągali ze wszystkich stron. Hotentot wypalił ze swej broni. Na to tylko czekali Buszmani. Podczas gdy Hotentot starał się nabić swoją fuzyę, skierowali nań wszystkie swe strzały i ranili go śmiertelnie w trzech miejscach. Aby nie paść w ich oczach, zawlókł się pół omdlały do wozu, a za nim poszedł syn jego, także ciężko ranny. Widząc to Buszmani, zawyli radośnie i rzucili się na trzodę, którą też natychmiast uprowadzili z sobą.

Ranny tymczasem utracił niedługo mowę i zmysły, i w strasznych konwulsjach życie zakończył, w niepełną godzinę po potyczce. Pozostałe kobiety bezbronne, osierocone, dręczone bólem z ran odniesionych, oczekiwały niechybnej śmierci, ponieważ znowu spostrzegły kręcących się zdala Buszmanów. Zupełnie przekonane że noc następna będzie ich ostatnią, spędziły czas na modlitwie i skupieniu wewnętrznym. Buszmani zaś, zapewne naszem nadejściem spłoszeni, uciekli, a my wzięliśmy nieszczęśliwych w opiekę.

„Widzicie więc“, pochwycił Retief, „jak niebezpieczni są Buszmani. Dodać jeszcze muszę, że oni nie napadają jednakże nikogo, jeśli nie widzą zysku

dla siebie. Chociaż bowiem gromadą wielką uderzą na bezbronnego Hotentota, jednakże już i to wielką jest u nich rzeczą i wielkiej wymaga odwagi. Napróżno nigdy się nie narażają na niebezpieczeństwo.

Jeśli im się uda zdybać kobietę lub bezbronne dziecko, natenczas i na nich się rzucają, zwłaszcza gdy tamci nie mają w rękę kija, ani czego innego, coby się mogło bronią nazywać.“

„Czy Buszmani są ludożercami?“ zapytał się Rej.

„Nie wiem właściwie tego. Z ich usposobienia i obyczajów sądzić by można wprawdzie, żeby i ludzkiem nie pogardzili ciałem, ale nie słyszałem nic podobnego, twierdzić więc nie chcę.“

„Ot, zagadaliśmy się tak“, zawołał Rej powstając, „czas nam w drogę. Miło to człowiekowi pogawędzić o rzeczach, których sam doznał.“

„Ano, trzeba wyruszyć nam, bo czasu nie wiele, każda chwila nam droga.“

Zaledwie kilkadziesiąt kroków uszli nasi przyjaciele, gdy nagle poczuli dym. Stanęli zdziwieni. Cóżby to mogło być? Po chwilce njrzeli mdłe światło migocące z po za gałęzi i liści. Rej kazał Janowi i Cymbie czekać, sam zaś puścił się dalej na zwiady. Gdy się zbliżył na kilka kroków do ognia spostrzegł, że ktoś tam siedzi bezmyślnie patrząc w płomienie syczące. Jakież było zdziwienie jego, gdy w człowieku poznał starego znajomego Sir Silberta Greena. Nie wiedział zrazu, co począć. Namysłać długo się nie mógł. To tylko odrazu zrozumiał, że w bliskości gdzieś zapewne Kafrzy musieli być ukryci. Niepodobnem mu się zdało albowiem, by Anglik sam w tem miejscu się znajdował. Oddalił się z pewnością od czarnych na chwilę by odetchnąć powietrzem nie zarażonem ich wyziewami. Wahał się chwilę. Ująć Anglika niebezpiecznem było o tyle, że narazić się mógł na odkrycie śladów swoich przez bliskich Kafrów.

Ale, pomyślał sobie, gdyby tak się udało ślady zatrzeć?

Nie długo się namyslał. Przyczołgał się tuż do Anglika, wziął nóż swój w rękę i nagle powstał:

„Good morning, Sir Silbert Green!“ zagadnął go spokojnie. „Zle się wam widocznie spać musiało, że znowu odpoczywacie . . .“

Rej nie chciał z nienacka napadać na tego człowieka jak na jakie zwierzę. Liczył na to, że przerażony Silbert ani marzyć będzie o obronie. I nie mylił się. Człowiek ten do tego stopnia się przestraszył, że usta otworzył szeroko, tak jakby upiora zobaczył. Słówka wyrzec nie mógł, zapomniał nawet z miejsca powstać.

„Czybyście może nie zechcieli powstać na powitanie?“ mówił Rej obojętnie. „A, pewnieście w tym kraju zapomnieli o regułach przyzwoitości.“

Rej spojrzał na jego nogi wyciągnięte i zauważył kolosalnych rozmiarów buty na nich. Anglik teraz dopiero się podniósł.

„Wyście to, panie?“

„Ja sam, jak mnie widzicie, w własnej skórze, jeśli się nie mylę. Ale, ale proszę bardzo, bądźcie łaskawi buty ściągnąć!“

„Czemu?“ zapytał, niezmiernie zdziwiony szczegółem tem żądaniem.

„Czemu? Z tego prostego powodu, że sobie tego życzę, mój panie! Czasu nie mam, by wam wszystko wytłomaczyć. A więc raz jeszcze proszę!“

„Ale ja nie rozumiem — —“

„Nie potrzebujecie też wcale rozumieć tego, mój panie! Proszę, bo inaczej w inny sposób z wami się rozmówię.“ Rej na nóż wskazał.

W trakcie tej rozmowy przybyli Jan i Cymbo. Usłyszeli z daleka rozmowę, przybyli więc z ciekawości. Rej skinął na swego służącego. Cymbo wziął dzidę do rąk, wymierzył ją na Anglika i rzekł:

„Czy Cymbo ma przebić Anglika?“ zapytał. „Cymbo wielki i odważny wojownik!“

Pocziwy Kafer strasznie minę swą nasrożył. Anglik natychmiast na ziemię upadł i bez wszystkiego usłuchał rozkazu Reja.

„Nie rozumiem was“, mówił podniesionym nieco głosem, „ale mimo to uczynię zadość dziwnemu żądaniu waszemu!“

„Szczęście to dla was! Raz jeden udało wam się uciec nam. Teraz nie spodziewajcie się tego. Zresztą prosiłbym was także, byście zechcieli ciszej mówić. A teraz chodźcie za nami!“

Każden zapewne zrozumie, że Rej dla tego żądał tak dziwnej rzeczy od Anglika, aby tenże długimi swemi butami zbyt wyraźnych i trudnych, do zatarcia śladów po sobie nie zostawiał. Sir Silbert wziął więc chcąc nie chcąc trzewiki swoje pod pachę i szedł za Rejem.

Gdy daleki już dosyć kawał uszli, mógł młody człowiek bezpiecznie już mówić do swego jeńca:

„Z nieprzyjaciółmi kraju tego się wiążecie, Dingaanowi pomogliście napaść na osadę Jana Retiefa, dla tego już na śmierć zasłużyliście. Daruję wam życie, jeśli się spokojnie zachowacie, owszem, przyrzekam wstawić się za wami u przyjaciół moich. Jakim to sposobem zaprzyjaźniliście się z wielkim naczelnikiem Kafrów?“

„Good, toć to przecież zupełnie pojedyncze, mój panie. Miałem posłannictwo sobie zlecone tam z drugiej strony gór. Po drodze zaznajomiłem się z Dingaanem.“

„Jakież to posłannictwo? jakiej ono natury?“

„Eh, zupełnie błahe, zwykły interes!“

„Może wam wierzę, ale widzicie różne są interesa. Do kogóż to byliście wysłani?“

„Do — do pewnego Holendra!“

„Nie kłamać, źle z wami będzie!“

„Prawdę mówię!“

„Panie John Elson czy nie mieliście czasem czego do załatwienia z kapitanem Mac Klintok?“

Anglik milczał.

„Cóż wy mówicie?“

„Ja? nic. Nieostrożnym byliście Sir Elson. Powiem wam, że do załatwienia podobnych interesów innego by mógł gubernator wybrać człowieka. Zanadto nie-

rozsądni, poprostu za głupi jesteście do tego. A więc jakżeście zaprzyjaźnili się z Dingaanem?”

„Panie, zaręczam wam słowem honoru, że przypadkowo się z nim zetknąłem!”

„W takim razie w przyjaznym nader pozostajecie stosunku. Może byście zechcieli niejedno jaśniej wytłómaczyć!”

„Wybaczcie, ale mówić mi nie wolno, inaczej posadę postradam. . . .”

„W takim razie nalegać nie będę. Tylko“, dodał Rej z uśmiechem, „nie zgubcie czapki, tak jakżeście zgubili swój dalekowiedz i zbiór listów. Mógłby się albowiem przypadkowo człowiek znaleźć, któryby co drugi wiersz tylko czytał. . . .”

Człowiek pobladł.

„Co chcesz przez to powiedzieć?”

„Hm, mówię to, co już raz powiedziałem: że jeśli spokojnie się nie zachowacie, lub nie zechcecie rozkazów moich słuchać, możecie się bliżej zapoznać z kulami moimi. Chwilowo pragnę, byście weszli ot, na to bydlę brabanckie.“ Rej wskazał na konia swego służącego.

Kafer natychmiast zlął z grzbietu kobyły. Jan uśmiechnął się. Anglik widział, że to nie przelewki, natychmiast więc usłuchał.

„Good, ja mam z wami jechać, mój panie?”

„Jak widzicie!”

„Ale, ja pozostawiłem tam broń swoją i różne inne bagatelki.“

„Gdzie tam?”

„No u Kafrów!”

„Nie potrzebujecie obecnie ani broni, ani żadnych innych bagatelek. Zresztą może jutro znowu w posiadaniu wszystkich waszych rzeczy będziecie. No, a teraz pozwólcie na chwilę!”

Rej przystąpił do Anglika, wyjął z kieszeni swej długi rzemień skórzany i przywiązał nogi Sir Johna do konia.

„Tak przynajmniej nie spadniecie ze szkapry. Cymbo wsiadaj ty także z tyłu!”

Kafer oczy wytrzeszczył na Reja. Usta swe pytająco otworzył, twarz swą do uśmiechu ułożył.

„Co? Co ma Cymbo uczynić? Anglik siedzi na koniu, a Cymbo ma siedzieć na Angliku?“

„Nie“, roześmiał się Rej, „nie na Angliku, tylko za nim, przytem mocno masz go trzymać!“

„O, panie, o, o, to bardzo dobrze, to bardzo pięknie dla Cymby, bo Cymbo przynajmniej nie spadnie jak się Anglika trzymać będzie i pan Pretorius rozrzynać więcej nie będzie mógł.“

„Tak!“

Rej zwrócił się do Jana.

„Panie, jedźcie tam z nimi naprzód po tej skalistej ziemi, ja na chwilę pozostanę, by ślady po za sobą zatrzeć. Kafrzy w każdym razie Anglika szukać będą.“

Rej za chwilę powrócił. Na skale śladów żadnych po sobie nie zostawiali, a gdy już spory kawał drogi ujechali i lasek mały ich oddzielał od miejsca, z którego wyruszyli, pewni być mogli, że pogoń już za nimi nie zdąży.

Anglik wcale nie źle na koniu siedział, a Cymbo tak się go silnie trzymał, że śmiało można było szybciej naprzód się puścić. Czasu do stracenia nie było.

Bez żadnej przeszkody jechali tedy i nazajutrz wieczorem znaleźli się u stóp góry Atter. Wyżyna rozciąga się daleko na południe a cała pokryta jest gęstym lasem. Z zachodniej strony odcina się stromo od płaszczyzny, a z drugiej podnosi się zwolna do znacznej wysokości. W tysiące czeluści i przepaści zarysowały się góry Kwatlamba, olbrzymie złomy skał i kamieni sterczą na niebotycznych wyżynach, lub też zawalają drogę już i bez tego uciążliwą.

Podróżni stanęli. Jan rzekł do Reja:

„Zbliżamy się do miejsca, w którym komendant ma oczekiwać na siły Kafrów. Widzicie dobrze, panie, że taka miejscowość pysznie się nadaje do tego. Ukryć tutaj można bodaj całą armię, a nikt się nie domysli, że ludzie znajdują się w pobliżu.“

„Macie słuszość“, odparł Rej, „ale nie zatrzymujemy się tutaj. Sądzę podług tego, coście powiedzieli, że

chyba niezadługo dotrzemy do naszego obozu. . . Co to jest? . . . nic nie czujecie? . . .“

Jan spojrział na swego towarzysza.

„Nic.“

„Stańmy“, rozkazał Rej. „Wyraźnie czuję dym. Musi być gdzieś w bliskości ogień rozniecony. Zsiadajcie, trzeba nam przekonać się dokładnie, co by to mogło być.“

Jan zeskoczył z konia, a Rej rozkazał Cymbie cicho się zachować, pilnie baczyć na Anglika i spokojnie czekać na siebie, aż powróci.

Obaj młodzi ludzie puścili się na zwiady. Nie długo iść potrzebowali: spostrzegli niebawem blask ognia przez wąską jakąś szczelinę.

Jak najciszej tedy podkradli się pod sam otwór. Jan przyłożył głowę, Rej to samo uczynił.

Była to dość obszerna jaskinia, oświetlona ogniskiem, rozpalonem na samym środku. Na około siedziało trzech ludzi, jak było można sądzić z ubrania, oficerowie angielskie. Dalej leżało może dwudziestu Kafrów. Rozmawiali.

„Jednakowoż ten Green nie jest człowiekiem do interesów. Już przed trzema dniami musiałby być na miejscu, w naszym obozie.“

„Wiemy o tem“, odpowiedział człowiek, ku zdumieniu słuchających Jana i Reja ubrany tak samo prawie jak ich jeniec Anglik. „Wiemy o tem, jednakowoż z poselstwem naszym musiało koniecznie dwóch ludzi wyruszyć. Nie mieliśmy zaś innego człowieka do dyspozycji, jak właśnie Greena, który, niestety, w całym swem życiu nic porządnego nie zdziałał. Droga moja krótszą była ale za to niebezpieczniejszą. Dla tego musieliśmy się postarać żebyście nasze papiery otrzymali, panie Mac Klintok, w razie gdybyś ja wpadł w ręce Boerów. A potem nie wtajemniczyliśmy we wszystkie sprawy Greena pocziwego, dla tego to on z pewnością tak długo daje czekać na siebie.“

Bardzo się dziwili młodzi ludzie, gdy tę rozmowę posłyszeli. Było im teraz jasne, że Green i ten drugi, co właśnie przed chwilą mówił, byli wysłańcami przedsiębiorstwa jakiegoś, zapewne fabryki broni. Chociaż

więc jeden z agentów wpadł w ich ręce, drugi dotarł do celu, i zawiadomił oficera odnośnego o całej sprawie.

„A więc tą drogą przez Atter mamy broń transportować? Spodziewałem się tego, dla tego już odnośne rozporządzenie dałem.“

„Tak, a to z tego powodu, że tutaj będzie na was czekał oddział Zulusów, którzy was przeprowadzi. Przypuszczalnie bowiem zechcą Boerzy obsaczyć ten przesmyk.“

„W takim razie byłaby jeszcze droga.“

„Wiem, mniemacie zapewne wąwóz Kers?“

„Tak jest.“

„Myślałem i ja o tem, ale tędy jest bezpieczniej. Droga jest węższa, więcej skryta, a dla tego łatwiej się bronić.“

„Sądzę tylko“, odezwał się teraz trzeci, „że wcale łatwem nie będzie odeprzeć tych gburów holenderskich. Dużo możemy krwi sobie napsuć.“

„Bajki!“

„Bajki? Proszę cię bardzo. Liczymy wprowadzić dwanaście tysięcy przeciw trzech tysiącom, ale pomyśl, dzicy Zulusi przeciw Holendrom. A potem wiesz przecież doskonale, że ich taktyka była zawsze doskonałą. Gdyby zaś przyszło do ręcznej walki, śmiało twierdzić mogę, że każdy Boer czterech do pięciu Kafrów na siebie weźmie.“

„Wszystko głupstwo!“

„Głupstwo? Proszę cię, mój kochany, przypomnij sobie, że między Boerami są ludzie jak Pretorius. Wszak człowiek ten w ostatniej walce z dzikimi sam jeden stał na skale, której broń nieprzyjacielska dosięgnąć nie mogła i „rurą“ swoją jednego po drugim zmiatał. Potem wskoczył w sam środek Zulusów i rzeź taką urządził, o jakiej świat nie słyszał. Iluż na takiego człowieka liczysz Kafrów?“

„W każdym razie więcej, jak na każdego innego. Ale jeszcze raz powtarzam, że nie ma potrzeby obawiać się.“

„Jak to?“

„Z tego prostego powodu, że w ogóle do walki nie przyjdzie.“

„Masz może na myśli pułapkę, o której mówiłeś?“

„Tak, „Groote-Kloof“ dobrem miejscem do tego. Wiesz przecież, że z obowiązku musiałem wąwóz ten dokładnie spenetrować. Przy tej więc sposobności zapamiętałem sobie doskonale, że to miejsce jest wysmienitem na olbrzymią pułapkę. Nadmienię tutaj, że miano „Kloof“, wąwóz, nie bardzo mu przysługuje, jest ono raczej ogromną kotliną, ze wszech stron otoczoną stromemi skałami. Jedno tylko tam wejście wielkie prowadzi, a to właśnie jest dla nas pożądaną rzeczą. Jest tam nadto inny bardzo ważki przesmyk, ale dziurę taką kilku ludźmi łatwo zapchać można. Tylina zaś strona kotliny jest gęsto pokryta krzewami, prawie, że aż do samego wierzchołka. Dzięki tem właśnie roślinom zdaje się, że na stromą skałę wejść nie podobno, gdyż na oko zupełnie prostopadle się wznosi. Jednakże, gdy się bliżej rozpatrzy, można spostrzedz, że kamień leży stopniowo, jak schody. Plan mój jest następny: Skoro nas Boerzy zaatakują, damy się pobić na pozór i zrejterujemy w przyległy wąwóz Kers. Podczas gdy główne siły nasze skryją się po za kotlinę w dolinę Zwarten, da się oddziać, który nieprzyjaciel za główny uważać zmuszony będzie, wepchnąć do wspomnianej pułapki. Ten wdrze się na skałę i obsaczy wierzchołki przylegających złomów. Nieprzyjaciel naturalnie ścigać będzie uciekających, a tymczasem główne siły nasze odetną mu odwrót. Boerzy będą musieli poddać się, czasu nawet nie będą mieli do wystrzelenia swoich karabinów. W przeciwnym razie z głodu zemrą.“

„Hm, plan ten jest bardzo skomplikowany. Łatwo może zająć w wykonaniu jaka okoliczność, która wszystkie zabiegi w niwecz obróci, a nawet na szkodę nas narazić może. W razie, gdyby Boerzy domyślili się czego, jesteśmy bezpowrotnie zgubieni.“

„Niczego się nie domyślą, bo plan mój jest tajemnicą, wiadomą mnie tylko i Dingaanowi.“

„A gdyby tak Holendrzy nie zaufali nam i przeczuli, że ucieczka nasza tylko symulowana?”

„Niepodobieństwo! Są przekonani, że mają do czynienia z nieprzyjacielem głupim i strategicznie nic nie znaczącym.”

„Ależ tak samo są też przekonani, że Dingaana własni poddani nie cierpią i li tylko ze strachu go słuchają. Wiemy przecież nawet, że Boerzy szukają brata jego Pandę i chcą go na miejscu Dingaana postawić. Słusznie obawiać się należy, że Zulusi chętnie opuszczą krwiożerczego tyrana i połączą się z lepszym Pandą!”

„Głupstwo! To tylko bajka, wymyślona przez naszych nieprzyjaciół, aby rozsiać trwogę i zamieszanie w naszym wojsku. Że takie wieści niesubordynację tylko wywołać mogą, o tem bardzo dobrze wiedzą Boerzy. Nie uda im się to z pewnością. Panda nie żyje, zniknął z powierzchni ziemi tak, jak ot naprzykład ten kawał mięsa w ustach moich.”

Po tych słowach zdjął z rożna nad ogniem kawał mięsa i zaczął jeść.

Jan i Rej dosyć słyszeli. Podnieśli się więc i Jan szepnął:

„Musimy spieszyć coperędzej.”

Rej zapytał: „Daleko jeszcze do obozu?”

„Kwadrans tylko może”, odpowiedział.

„W takim razie wiem co czynić. Wrócimy tutaj za chwilę i spravimy Sir Klintokowi małą niespodziankę.”

Za chwilę pędzili naprzód tak szybko, jak się tylko dało przy nierównościach gruntu i przeszkodach, jakie co chwila napotykali to wykonać. Nie minął i czas przez Jana oznaczony, a dotarli do obozu. Na długie przywitanie czasu nie było. Wszyscy prawie, co byli obecni, z Pretoriusem na czele, z bronią w rękę wyruszyli spiesznie z powrotem do jaskini.

Cicho a szybko rozstawili się Boerzy po obu stronach wąwozu. Jan rzucił okiem na nich i w oko mu wpadła postać murzyna. Radośnie zawołał:

„Panda!“

„Panda“, powtórzył Rej i szybko przystąpił do Kafra. „Chodźcie z nami“, szepnął.

Pretorius, Panda i Rej wysunęli się tedy cicho. Jan stanął przy szczelinie i patrzył do wnętrza jaskini. Trzej ochotnicy obeszlili złom skały i z drugiej strony znaleźli wejście do jamy. Śmiałym krokiem weszli do wnętrza. Na ich widok wydali obecni Kafrzy okrzyk zdumienia i natychmiast za broń chwycili. Rej wysunął się naprzód i pozdrowił:

„Good evening, Sir Klintok! Wolno was na chwilę od narady oderwać?“

Anglik zerwał się na równe nogi. Oczy wytrzeszczył na nieznanego i niewyraźnie zapytał:

„Wy mnie znacie? Kto jesteście? Zkąd przychodzicie i co chcecie odemnie?“

„Zawiele prawie naraz pytacie, Sir Klintok! Przychodzę oddać wam ukłony od niejakiego Sir Silberta Greena.“

„Od Greena?“ spytał gwałtownie. „Gdzież on jest?“

„W niewoli u Boerów.“

„W niewoli? A wy od niego przychodzicie. Toć przecież z nimi trzymacie!“

„Owszem, panie. Miałem przecież tę przyjemność złować go!“

Mac Klintok stanął natychmiast tak, że odejście odgrodził Rejowi i jego towarzyszom.

„W takim razie ja was do niewoli biorę!“

„Nic nie mam przeciw temu, albowiem w ten sposób będziemy najłatwiej widzieli, jak będziecie broń transportowali dla Kafrów.“

Oficer drgnął.

„Zwaryowaliście, czy co?“ krzyknął. „Broń złożyć!“

„Chętnie, jeśli to wam taką przyjemność sprawia.“
Rej położył karabin swój na ziemię. Dwaj jego towarzysze to samo uczynili. „Za to wy nam wyświadcycie tę przyjemność, że będziemy widzieli Boerów w pułapce w „Groote-Kloof.“

„Podśluchiwaliście!” ryknął Klintok, na kilka kroków się przybliżając.

„Naturalnie! Koniecznie musieliśmy przecież wiedzieć komu mamy zamiar oddać wizytę.”

„Kpicie sobie ze mnie, czy co?”

„Bynajmniej. Chciałem wam pokazać te ot papiery, boć jeśli się nie mylę, do was są pisane.”

Rej wyciągnął z pugilaesu listy rozpieczętowane.

„Co?” zapytał Klintok zdziwiony.

„Papiery te znalazłem u Sir Silberta Greena alias Elsona.”

„I wyście je czytali?”

„Naturalnie. Układ listu i wymysł autora, by go uczynić niezrozumiałym i nieczytelnym dla innych nie jest tak zbyt genialny. Czy może autor zechce uzyskać patent na swój wynalazek?” pytał Rej ironicznie.

„Człowieku, opamiętaj się, szalejesz chyba! Złóż natychmiast na ziemię nóż i pistolet, co ci tkwią za pasem!”

„Może i to uczynimy, ale przede wszystkim pozwól sobie przedstawić moich współtowarzyszy. Otóż stary ten i poważny mąż nazywa się Andrzej Pretorius.”

„Andrzej Pretorius!” powtórzył zdziwiony.

„Tak ten sam, który podług waszego orzeczenia więcej jak pięciu Kafrów sam zmoże. A ten tutaj, jest tym samym o którym wyście mówili, że zniknął z powierzchni ziemi jak kawałek mięsa w waszych ustach, brat Dingaana.”

„Panda!” krzyknął.

„Tak, nowy król Zulusów, panie Klintok!”

Biedny oficer nie wiedział co czynić. Zdumiał się niezmiernie, że ci trzej ludzie tak swobodnie przed nim stoją. Szybko jednakże odzyskał przytomność i krzyknął na Kafrów.

„Wiązać ich!”

„Oho, sir Mac Klintok! Niedoświadczeni śnać jesteście bardzo, jeśli sądzicie, że tak sobie staniemy u waszego ogniska zupełnie bez obrony i damy się związać jak barany!”

W tej chwili rzucił się Pretorius na Anglików dwóch złapał za piersi, uniósł w górę i siłą nieprzystępną rzucił o ziemię. Poczem pięściami potężnymi tak ich przycisnął, że ruszyć się nie mogli. Panda powalił równocześnie trzeciego, a z góry zagrzmiały przez szczeliny strzały Boerów, raz i drugi. Zaden z Kafrów w grocie obecnych nie pozostał przy życiu.

Jednej minuty było dosyć, by sytuacją całą zmienić na wręcz przeciwną. Jaskinia zapełniło się wkrótce Boerami, a za chwilę leżeli Anglicy na ziemi powiązani. Resztę nocy spędzili Boerzy przy ich ognisku.

Ponieważ już było wiadomem, kiedy transport broni miał nadejść, spokojnie mogli wyczekiwać. Gdy słońce weszło dnia następnego, usunęli nasamprzód trupy zabitych Kafrów, a że z miejsca na którym się znajdowali wygodnie całą przestrzeń widzieć mogli, postanowili pozostać i kazali konie przeprowadzić z drugiej strony góry.

Wkrótce zwrócił Jan uwagę powszechną na ciemny punkt, który hen daleko na horyzoncie się ukazał. Rej wziął dalekowszkie do ręki, przyłożył do oczu i wpatrywał się pilnie w dal siną. Wkrótce zauważył długi pochód jeźdźców i wozów, zbliżający się zwolna do nich. Rozpoznał, że to ten był tak oczekiwany transport. Po krótkiej naradzie stanęło na tem, że Boerzy ukryć się mieli aż do chwili, kiedy karawana na wypoczynek się zatrzyma.

Wszyscy więc rozproszyli się w wąwozie i obserwowali z po za skał i załamów zbliżający się pochód. Posuwał się bardzo wolno, ponieważ ciężkie wozy zaprzężone były wołami, bardzo zresztą zżółtanymi długą już a uciążliwą podróżą.

Dopiero koło południa dotarli do podnóża góry. Stanęli, utworzyli koło olbrzymie z wszystkich wozów a za nimi sami się układli na spoczynek.

„Teraz czas!“ nalegał Jan. „Pojedziemy tam do nich, przełamiemy ich twierdzę i wszystkich co do nogi wystrzelamy.“

Rej zaprzeczył.

„Ależ panie Janie, przecież to jest wręcz niebezpieczna rzecz. Jakżeż łatwo może się zapalić proch wskutek jednego nieostrożnego strzału, już nawet wskutek samego wstrząśnienia! Nawet tam ci ludzie już są bardzo nierosądni, że w pobliżu takich wozów obóz rozkładają. To jedno, a po drugie konno przecież nie przejedziemy wozów, a potem li tylko nożami bronić byśmy się mogli.“

W tej chwili Cymbo, który z boku nadśłuchiwał, przystąpił do nich, twarz swą wykrzywił i rzekł:

„Pan nie wie, co trzeba czynić, ale za to Cymbo wie wszystko!“

„No i cóż?“

„Cymbo pójdzie ot, tam do tych ludzi i powie że jest Zulusem, a potem ich przywiedzie tutaj!“

„To nie idzie, ponieważ — —“

„To idzie, panie. Cymbo zaraz pokaże.“

Zanim zdolali go zatrzymać przesunął się między nimi i zeskoczył z góry. Wszyscy naturalnie przestraszyli się uporem i jak sądzili lekkomyślnością Kafra. Plan Cymby wtenczas by tylko mógł się udać, gdyby Kafer był tyle mądry i wydał się za wystawioną wartość, oraz powiedział, że zapewne nikt jeszcze nie spostrzegł ich przybycia.

Chwilowo nie było można nic innego przedsięwziąć, tylko odczekać spokojnie następstw nierozsądnego, jak się wszystkim zdawało, kroku Cymby. Co się działo wewnątrz taboru nieprzyjacielskiego, nie mogli Boerzy dostrzedz. Za chwil kilka jednakowoż wozy się rozsunały i wszyscy jeźdźcy bez wyjątku wyjechali. Cymbo ich prowadził. Zdawało się wszystkim, że Kafer wiedzie Anglików wprost na nich, jednakże wkrótce spostrzegli, że Cymbo nie wiodł ich na górę, tylko stanął u stóp jej. W ten sposób przeszli jeźdźcy tuż pod Boerami i znikli za krzakami skały.

Rej odetchnął.

„Cymbo, jak widzę, rozsądniejszym się okazał, niż by to było można przypuszczać“, odezwał się, „a dowódca tych tam ludzi głupszy jest od naszego Kafra. Rozważny oficer kazałby nam przyjść do siebie, co

najmniej nie udałby się ze wszystkimi swoimi ludźmi w ślad za człowiekiem nieznanym. Mojem zdaniem zostawimy konie na miejscu a sami pójdziemy za Anglikami pod osłoną gęstwiny. Część inna naszych sił zajdzie im z tyłu. Tak będziemy ich mieli z dwóch stron. Niebezpieczeństwa dla nas żadnego nie będzie. Radzę, by kogoś rozsądnego tutaj zostawić przy jeńcach!”

„Toć wy, panie, sami chyba tutaj zostaniecie“, wtrącił Pretorius, „najprzód, lepszego stróża nad was nie znajdziemy, a powtóre, każdy z nas drży z niecierpliwości, by jak najprędzej Anglikom sadła zalać za skórę.“

Rej opierał się takiemu rozporządzeniu, z swojej strony proponował Jana na swoje miejsce, tem więcej, że młodemu człowiekowi należało spocząć, ale Retief ani słuchać nie chciał o pozostaniu. Chcąc nie chcąc, musiał tedy Rej poddać się rozporządzeniu.

Za chwilę znikli Boerzy za skałami i Rej sam na sam z jeńcami pozostał. Ci ostatni spostrzegli naturalnie wszystko, widzieli niebezpieczeństwo, które ich sprzymierzeńcom zagrażało, ale ruszyć się nie śmieli, krzyknąć nie mogli, bo wiedzieli, że życie własne by narazili.

Minął zaledwie kwadrans. Z daleka gdzieś doleciał uszu Reja huk wystrzałów. Atak się rozpoczął. Niepokojnie stał młody człowiek na miejscu. Ani chwili nie wątpił o zwycięstwie Holendrów. Obawiał się tylko o Cymbę, którego położenie w każdym razie nie było do pozazdroszczenia. Łatwo mógł paść ofiarą poświęcenia swego. Długo jednakże nie potrzebował Rej lękać się, gdyż wkrótce spostrzegł go wysuwającego się z zarośli.

„O, pan tutaj!“ wołał już z daleka. „Cymbo pana długo szukał, ale nie mógł znaleźć. Cymbo już myślał, że pana zabili, ale Retief powiedział, że pan tutaj!“

„No, udało się?“

„O, bardzo dobrze. Wszyscy Anglicy zabici. Jak tylko Boerzy zaczęli strzelać, Cymbo uciekł za skały

bo by Cymbę Anglicy zarznęli. A, teraz pan powie, czy Cymbo dobrze się sprawił?”

„Chwat z ciebie! Wynagrodzę cię za to. Skoro do miasta przyjedziemy, kupię ci wielki pierścień mośięzny. Będiesz go mógł nosić u nosa! Będzie taki wielki jak brzeg mego kapelusza!”

„O, o, dobry, dobry pan! Cymbo będzie miał u nosa taki pierścień jak kapelusz. Cymbo będzie najpiękniejszy człowiek, najpiękniejszy ze wszystkich wojowników!”

W czasie tej rozmowy ujrzał Rej oddział Boerów. Wracali po ukończonej potyczce i pędzili wprost do taboru. Przy koniach pozostało tylko kilku Hotentotów, których też Holendrzy szybko rozbroili. Za chwil kilka byli w posiadaniu całej amunicji, wszystkich wozów nieprzyjacielskich.

Poczem przywołano Reja razem z jeńcami do wspólnej narady i wspólnego zrewidowania i przetrząśnienia zdobyczy. Wozów było piętnaście, zaprzężonych w pyszne woły a napełnionych ogromną ilością prochu, kul, ołowiu i ręcznej broni.

Dano chwilę wypocząć zmęczonem zwierzętom, a podczas tego zasiedli Boerzy do narady. Uchwalono bardzo słusznie, by się w wąwóz osaczony Kaframi nie zapuszczać, by wozy transportować dalej przez Atter. Dalej uradzono zawiadomić jak najrychlej o całym planie nieprzyjacielskim pozostałe siły holenderskie. Jakoż wkrótce wszyscy wyruszyli za wysłannymi gońcami.

Droga wiodła przez góry. Uciążliwą była bardzo, a nadto niebezpieczną o tyle, że zasadzki należało się spodziewać każdej chwili. To też wszyscy mieli się na baczności.

„Bylibyśmy w stanie odeprzeć jaki nagły napad?” zapytał Jan Pretoriusa, obok niego jadącego.

„To zależy od okoliczności. Tutaj w tych górach więcej zależy od miejscowości jak od liczby nieprzyjaciół!”

„Sza . . !” ostrzegł Rej. „Nieprzyjaciół w pobliżu.” Ręką wskazał na ciemny przedmiot, leżący na ziemi

tuż przy ogromnym złomie skały. „Czekajcie spokojnie“, szepnął, „idę na zwiady.“

Zsiadł z konia i zbliżał się wolno do wskazanego miejsca. Ostrożnie się pochylił nad czarnym przedmiotem. Na ziemi leżał płaszcz żołnierski. Zapewne przed chwilą stała w tem miejscu straż kaferska. Żołnierz widać dla upału zdjął płaszcz i na ziemię go rzucił.

Rej spojrział ostrożnie po za odłam, ale nagle odskoczył. Wąwóz tam był szerszy. Z obu stron strome góry go otaczały, a dalej o kilkadziesiąt kroków znowu się zwężały, ciasne tylko przejście zostawiając. Na samym środku opisanego miejsca stało w kółku kilkunastu Zulusów. Im zapewne powierzono straż wąwozu tak ważnego. Choć ich tylko mało było, mogli obronić przejście i całą armię z łatwością wstrzymać, bo przesmyk był wąski tak, że tylko jeden człowiek mógł się przecisnąć. Jeden z Kafrów zapewne stał na straży w miejscu, gdzie Rej znalazł płaszcz porzucony. Dłużyło się widać biedakowi, więc na chwilę odszedł do towarzyszków.

Rej natychmiast cofnął się do Boerów i opowiedział im szybko, co zobaczył. Pretorius ujął konia za cugle.

„Ja naprzód wyskoczę“, zawołał, „niespodzianie do nich wpadnę i stanę przy drugim wejściu. Dostaniemy ich w ten sposób we dwa ognie. Zaden z nich nie powinien nam ujsć.“

Jak rzekł, tak zrobił. Zanim się Kafrzy spostrzedz mogli, przeleciał jak strzała, po drodze kilku najbliższych stojących zwałił i stanął przy wyjściu. Kilka strzałów z jednej i z drugiej strony, kilka uderzeń Jana, który za Pretoriusem skoczył, a Boerzy zostali panami placu.

Trupy pobitych wrzucono w głęboką przepaść. W dalszą puscili się drogę. Mniej więcej po jedno-godzinnym marszu spostrzegli jeźdźców w oddali. Coraz ich więcej się gromadziło. Pretorius i Rej przyłożyli do oka dalekovidze. Radosny okrzyk wyrwał im się z piersi.

„To nasi!“ krzyknęli jednogłośnie.

Nie długo wszyscy rozpoznali towarzyszków.

„Neef Welten, to wy? Cóż wy tutaj robicie?“ zawołał Pretorius.

„Wysłano mnie, bym osaczył przesmyk ten, by wam ułatwić drogę.“

Pretorius się uśmiechnął. Rzucił ręką.

„Nie potrzeba, jak widzicie. Samiśmy przeszli!“

„Bez przeszkody?“

„Kilku czarnych musieliśmy uprzątnąć. Coż tam u was słyszać?“

„Wszystko idzie jak najlepiej, wszyscy pełni otuchy.“

„Gdzież główna nasza armia?“

„O pół dnia z tego miejsca. Ja tutaj tylko mam z sobą kilku set druhów. Kafrzy, jak słyszałem, w dwanaście tysięcy wojowników czekają przy wąwozie Kers na transport amunicyi.“

„Hm“, zaśmiał się Pretorius, „mogą czekać aż do dnia sądnego!“

„Cóż to znaczy?“

„To znaczy, że ta oczekiwana amunicja mieści się w tych wozach, które ot tu widzicie.“

„Czybyście wy mieli . . .?“

„Tak, myśmy transport cały przejęli.“

„Bogu dzięki. Broni i amunicyi u nas brak wielki. Przyda nam się to wszystko. Ale wracajmy do swoich!“

Ruszyli. Po kilkugodzinnym marszu przybyli rzeczywiście do głównego oddziału wojska Boerów.

Z wielkim zapamięł przywitali Boerzy swych towarzyszków. Zaraz na wjeździe okrzyknięto Pretoriusa naczelnym dowódcą. Doświadczony Boer objął natychmiast władzę sobie powierzoną. Nasamprzód wysłał oddział silny, by przetrzebić Zulusów przy wąwozie Kers.

Poczem główni dowódcy wojsk zasiedli do narady. Między nimi zajął niepoślednie miejsce Panda, brat Dingaana, jako naczelnik kilku set Kafrów, wiernych Boerom i jako przyszły następca Dingaana a król wszystkich Zulusów. Uchwalono wysłać Pandę z jego wojownikami do „Groote-Kloof“, by tę pułapkę w górach

zajął przed Dingaanem. Radośnie zgodził się Panda na to. Główny plan Pretoriusa był następujący:

Należało nasamprzód rozdzielić amunicję między żołnierzy, poczem mieli Boerzy sami zaatakować Dingaana, nie czekając, aż on sam ich napadnie. Mieli także między wojownikami Dingaana rozsiać wiadomość, że Panda się znajduje w obozie Boerów i że obiecuje każdemu Kafrowi przebaczenie zupełne, jeźliby od Dingaana odstąpił.

Panda wyruszył z swoim oddziałem na przeznaczone miejsce. „Groote-Kloof“ wyglądał zupełnie tak, jak go był Mac Klintok opisał. Odkryli wejście, o którym oficer wspominał. Kafrzy wdarli się na szczyt skał, otaczających kotlinę, która dla nich tak zgubną być miała.

Nic innego nie pozostawało, jak cierpliwie czekać. Trzeciego dnia dopiero nadbiegł goniec z wieścią od sztabu naczelnego, że wojska nieprzyjacielskie się zbliżają. Panda rozkazał zatrzeć wszelkie ślady któreby mogły świadczyć o ich bytności i zdradzić ich plany.

Kilka godzin po ukończeniu tej mozolnej pracy ukazali się Kafrzy Dingaana i podług podsłuchanego planu wkroczyli w kotlinę i posuwali się aż do tylnej jej ściany. Tutaj przyjął ich Panda rzesistym ogniem doskonałych angielskich karabinów swoich wojowników. Napadnięci byli strasznie przerażeni, tak niespodziewali się tego ognia. Oddział napadnięty składał się z dwóch pułków po piętnaście set żołnierzy. Dowodzili nimi angielscy oficerzy. W mgnieniu oka zwrócili się Kafrzy do ucieczki. Ale już wejście było zatamowane. Anglicy Kaframii dowodzący dobrze wiedzieli, że w razie gdyby żywcem wpadli w ręce Boerów, za szpiegów poczytani będą i łaski spodziewać się nie mogą. Dla tego nie składali broni i nie prosili o pardon, ale gorączkowo pchali swoich ludzi na pewną zgubę. W przeciągu niespełna jednej godziny żywej duszy nie pozostało z całego oddziału. Do dziś dnia nazywają Groote-Kloof „grobem Kafrów“.

Główne siły Boerów tylko dla pozoru przybliżyły się do wejścia do pułapki. Pretorius zostawił tutaj kilka set żołnierzy, którzy odcięli odwrót zamkniętym Zulusom, sam zaś podążył w ślad za armią Dingaana, do „Zwarten Rivier“.

Do tej doliny był Pretorius już kilka dni temu Neef Weltena wysłał z częścią swych wojsk. Dingaan ją obsaczył, nie wiedząc, że już poprzednio przez nieprzyjaciół zajęta była. Gdy więc Pretorius z swoją armią nadszedł, znaleźli się Kafrzy i tutaj z dwóch stron wzięci. Zdawało się, że i tych nieszczęśliwych ten sam los spotka, co ich towarzyszków w „Groote-Kloof.“

Ale Dingaan był z nimi. Wystarczyło to, by wojsku nadać przynajmniej pozorny wygląd dyscyplinarnie trzymany pułków. Jednakowoż mimo liczebnej ich przewagi śmierć straszne spustoszenie w ich szeregach czyniła. Odwrót był niemożliwy. Musieli albo zwyciężyć, albo zginąć. Dlatego też podlegał ich Dingaan nieustannie do walki. Sam bił się jak szalony, albo też przemocą pchał swoich wojowników na śmierć pewną. Niechętnych i opierających się sam własną ręką mordował.

Po ukończeniu sprawy z Kafram w „Groot-Kloof wyruszył także Panda i Rej, dowodzący drugim oddziałem, z pomocą Pretoriusowi. Walka tem szalała z całą grozą.

Było to właściwie mordowanie tylko zrozpaczonych Zulusów i może by późno w noc się przeciągło, gdyby nie nastąpiła okoliczność, fatalna w następstwa dla Dingaana.

Właśnie występował nowy pułk Kafrów do walki zaciętej, gdy z szeregów Boerów wysunął się jeździec. Klusem zbliżył się do nieprzyjaciół. Był to Panda. Ważył się on z istic królewskiem bohaterstwem stanąć sam na sam w obliczu armii nieprzyjacielskiej. Na jego skinienie pułk stanął. Panda podjechał do pierwszych szeregów i przemówił do nich. Za chwilę okrzyk radosny przeszył powietrze. Kafrzy zwrócili się frontem do wojsk Dingaana i natarli na

nie. Słowa Pandy skutkowały. Pozostałe wojska Dingaana zawahały się chwilę.

„Szybko ognia!“ zakomenderował Pretorius. „Niechże raz zobaczą, co mają czynić!“

Setki Kafirów padły po tej salwie.

„Dingaana — śmierć, Panda — życie, zbawienie!“ wyrwał się okrzyk z tysiąca piersi.

Dingaana musiał spostrzedz poruszenie swego wojska. Jak szalony stanął na jego czele i rozkazał atakować. Wtem Panda wypadł po raz drugi na koniu.

„Mam go!“ krzyknął i jak wicher poleciał naprzeciw pułkom nacierającym rozpaczliwie.

Pretorius drgnął.

„Dalej naprzód!“ krzyknął, „niechże przynajmniej ciało bohatera obronimy.“ Wszystkich oczy zwrócone były na Pandę. Dobiegał właśnie do Dingaana. Fuzyą swą młynca w powietrzu zakreślił i do okropnego ciosu się zamierzył. Ale Dingaana odparł go swą maczugą. W następsem oka mgnieniu chwycił Panda brata swego za czuprynę, zwrócił konia i szybko do swoich zdążył. Dingaana był w niewoli.

Panda rzucił go na ziemię, pochylił się nad nim i wrzasnął mu do ucha: „Gdzie moja Tszarga, gdzie moja córka? Giń morderco! . . .“ i nożem zamierzył się do śmiertelnego pchnięcia.

Wtem Pretorius przyskoczył do niego, chwycił go za rękę i krzyknął: „Stój, nieszczęsny, to twój brat.“

Drgnął Panda, ręka mu zwisała, sam padł na ziemię. „To mój brat . . .“ głucho powtórzył.

„To morderca ojca mego!“ krzyknął w tej samej chwili Jan Retief, i zanim Rej i Pretorius powstrzymać go mogli roztrzaskał jednym uderzeniem kolby głowę Dingaana.

„Kara sprawiedliwa za twoje zbrodnie!“ zawołał młody człowiek roziskrzonym wzrokiem spoglądając na krew strumieniami się lejącą ze zmiażdżonej głowy.

„To zemsta tylko . . ., to zbrodnia . . .“ szepnął mu do ucha Rej. Jan odwrócił się. Zgasły źrenice jego, smutno popatrzał na swego przyjaciela.

„Wybacz, nie mogłem przewyciężyć się . . . wybacz . . .“ i łza potoczyła się po licu jego. Milcząc uściskał Rej dłoń jego.

Na widok śmierci Dingaana złożyli Kafrzy broń. Poddali się. Panda nastąpił po bracie i panował dobrze i łagodnie ludowi swojemu.

Boerzy zwycięstwem upojeni wrócili spokojnie do domów swoich.

Radość panowała w domu Jana. Pretorius i Rej bawili u młodego Boera od kilku dni. Panda miał później przybyć, po załatwieniu najważniejszych interesów.

Wreszcie zjawił się oczekiwany. Serdecznie go przyjęto, nawet z uszanowaniem, jako króla Zulusów.

Wszyscy siedzieli w izbie gościnnej i rozmową się zabawiali. Wtem drzwi się otwały i ukazała się wysoka, wysmukła postać, Mietje.

Panda obejrzał się i długo wzrok swój zatrzymał na dziewczęciu. Naraz zerwał się.

„Tszarga!“ wyrwało się z piersi jego i w jednej chwili znalazł się przy drzwiach. „Tszarga!“ powtórzył, gdy przed dziewczyną stanął i ręce rozkrzyżował.

Zdziwili się wszyscy, bo nic nie rozumieli, co by to znaczyć miało. Mietje stała nie mniej przerażona prawie. Panda patrzył na nią z niemym zachwytem, patrzył tak, jak się zwykle spogląda w przedmiot uwielbienia i szczęścia najwyższego. Po chwili jednakże opadły jego ręce, zgasł płomień żarzący się w jego oku, łza natomiast w niem błysła. Skargą żałosną wybuchnął:

„Nie, to nie Tszarga. Tszarga byłaby stara już, a nie tak piękna i młoda jak ty, . . . ale czemuż, dziecię, tak jesteś podobną do niej? . . . Czemu jej naszyjnik u twojej szyi?“

„Czyś ty Panda?“ zapytała.

„Tak, jam król Zulusów.“

Chwyciła naszyjnik w drobne swe paluszki i szepnęła:

„Mam go od matki!“

„Od matki, dziewczę, od matki? Któż był twoją matką?“

„Nie wiem!“

Panda przesunął drżącą ręką po czole. Mietje mówiła dalej:

„W puszczy Kalahari znalazł mnie ojciec Jana, mnie i moją matkę, ale matka już nie żyła. Źródło wyschło, umarła z pragnienia!“

„Przy źródle was znalazł? Jak się ono nazywa?“

„Uliwimi . . .“

„Uliwimi? Dziecię, jak to dawno temu? Mów, mów szybko, bo czuję, jak serce bije w piersi mojej, mów, bo mi pęknie . . .“

„Było to podczas gorącego lata, temu lat mniej więcej szesnaście.“

„Lat szesnaście, na cienie ojców naszych, lat szesnaście. Tyle już lat upłynęło jak Panda musiał uciekać przed własnym bratem swoim, tyle już lat upłynęło, jak Panda rozstać się musiał z ukochaną swoją Tszargą, i jedynym dziećciem swoim. . . Tyle lat upłynęło, jak Panda znalazł trupa Tszargi przy wyschniętem źródle Uliwimi, ale dziecka nie znalazł, dziecka. . .“

Mówił te ostatnie słowa z widocznem wzruszeniem, głos jego brzmiał radością.

„Dziecię moje . . .“, krzyknął, ramiona roztwierając.

„Ojcze“, zawołała Mietje i rzuciła się w objęcia ojcowskie. Panda przyciskał ją do do piersi i spoglądał w jej załzawione oczy, w jej wzruszoną twarzyczkę.

„Moje ty dziecko, moja kochana córko, moja ty jedyna! Chceszli być mojem dzieckiem? Będziesz mnie kochała?“

Ona zaś główką skinęła kilkakrotnie, rączki swe zarzuciła ojcu na szyję, nie bacząc na obecnych, głęboko wzruszonych tą sceną.

„Jakie twoje imię?“ zapytał. „Powiedz mi, dziecko moje, niech cię nazwę po imieniu!“

„Mietje.“

„Mietje? Co znaczy Mietje? Dla ojca twojego ty będziesz się nazywała odtąd Tszarga, bo takie było imię matki twojej?”

Zwrócił się teraz do Jana, który stał opodal, dziwnem uczuciem miotany, rozrzuwiony do najwyższego stopnia.

„Ojciec twój znalazł dziecię moje? Czy ono teraz będzie siostrą twoją?”

„Mietje pragnę za żonę pojąć!” odpowiedział młody człowiek widocznie zaambarasowany. Choć czuł się białym, a więc niejako wyższym może od czarnych pod niejednym względem, zawsze nasuwała mu się teraz myśl natrętna, że jego ukochana córka jest królewska. . . .

„Ma być żoną twoją?” zapytał Panda. „Więc ty kochasz biedne dziecię moje?” mówił ze łzami.

„Kocham ją nadewszystko!”

„Weź ją więc sobie! Ale pamiętaj, że to córka królewska, pamiętaj, że to już nie jest biedna sierota.”

Z temi słowy sięgnął ręką pod płaszcz ramiona mu okrywający i rzucił na stół garść drogich kamieni.

„Bierzcie dzieci moje; to wiano twoje, Tszarga!”

W kilka dni później odbyło się sute wesele w domu Jana.

Boerzy związali się w państwo niezależne pod nazwiskiem „Rzeczpospolita Transwalska”.

Rej wrócił po kilku miesiącach do ojczyzny swojej, za którą tak tęsknił.

„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko na błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem. . .”



Przewodnik duchowny

książka do nabożeństwa i rozmyślania

wydana przez

Łatka OO. Trapistów z Mariannahill w Połudn. Afryce.

Książka ta zawiera rozmyślania na każdy dzień miesiąca o prawdach Kościoła św. katolickiego przez św. Alfonsa Liguorego, rady, wskazówki rozmaitych Świętych, modlitwy codzienne, mszalne (po łacinie i po polsku), wielki zbiór modlitw bardzo pięknych i mało w polskim języku znanych, Oficjum Maryańskie po polsku i po łacinie, trzy kościelne litanie: do Imienia Jezus, Matki Boskiej i Wszystkich Świętych po polsku i po łacinie, i bardzo wiele innych, oraz pieśni najużywiane.

„Przewodnik duchowny“ jest nie tylko dla osób zakonnych, ale więcej jeszcze dla osób w świecie żyjących, które pragną na drodze doskonałości postępować i duszę swoją zbawić.

Ceny są następujące: Broszurowany egzemplarz 1,50, nr. 1. opraw. w czarne płótno, brzeg czerw. 2, nr. 2. opraw. w czarną skórę 2,40, nr. 3. opr. w skórę szagrynową 2,60, nr. 4. w skórę szagr., brzeg złoty 3,10, nr. 5. w sk. szagr. brzeg zł. i okucie 3,50, nr. 6. w skórę kozłową, brzeg czerw. 4, nr. 7. opr. w miękką skórę, brzeg czerw., zamek 4,50, nr. 8. opr. w miękką skórę, brzeg złoty, zamek 5,50, nr. 9. opr. w skórę ciętą gładką, brzeg złoty, zamek 6 mk.

PP. księgarze otrzymują odpowiedni rabat.

Rozprawa o proroczych snach Józefa egipskiego.

(Odbitka z „Posłańca Matki Boskiej Nieust. Pomocy“.)

Stron 52 w 8-ce. Cena 20 fen., z przesyłką 25 fen.

Czy mam powołanie do zakonu Trapistów w Południowej Afryce?

Cena 25 fen., z przesyłką 30 fen.

Posłaniec Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Wychodził dawniej w miesięcznych zeszytach nauki, opisy i przykłady ku

Można nabyć całe roczniki i

Niezi

Pismo, poświęcone Misy

Z upoważnieniem Jego

Kard. Je

Wychodzi dwa razy na

tydzień 50 fen. z

Dla Austri

W Rosyi i Królestwie

zapisywać u pana Lu

w księgarni sortym.

w Warsza

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
Im. E. Smolki w Opolu

ni. inw. :

91375

Syg. :

„Zbiory Śląskie”

Krzyż św. Benedykta

medalem lub groszem świętego Benedykta nazwany.

Krótki opis tego krzyża, historia jego powstania, oraz i odpusty, których wierni dostąpić mogą za pomocą krzyża świętego Benedykta.

Cena 5 fen. za egzemplarz, z portoryum 10 fen., od dziesięciu egzemplarzy począwszy przesyłka franko.

O święconej wodzie.

Krótki opis ceremonii święcenia wody, działania i skuteczności święconej wody, oraz modlitwy, przy używaniu święconej wody odmawiać się mające.

Cena 5 fen. za egzemplarz, z portoryum 10 fen., od 10 egz. przesyłka franko.

Akt heroicznej miłości ku duszom cierpiącym w ogniu czyścowym.

Sposób wzbudzania tegoż aktu, odpusty i przywileje dla tych, którzy akt heroicznej miłości wzbudzają.

Cena pojedynczego egzemplarza 3 fen.

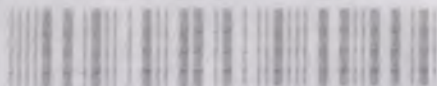
Nabywać można w głównej ekspedycji:

Br. Rusticus Hajduga,

Wrocław (Breslau) IX., Sternstr. 50.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9137 S



001-009137-00-0